

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 3 GRUDNIA 1927 ROKU

NR 49

TREŚĆ NUMERU: W prometejskiej służbie — *Natalja Jastrzębska*. Odpowiedzialność społeczna — *J. Y.* Głos bezimiennej niedoli — *M. H. Szpyrkówna*. Wiersz: „Pani Walewska” — *Zofja Miszewska*. Wspomnienia z roku 1831 na Litwie — *Gabrjela z Güntherów Puzynina*. Profesor (c. d.) — *Max Wit*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Zapoznane skarby — *I. J.* Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i H. S.* Z życia muzycznego — *P. L.* Z teatrów — *S. P. O.* Komunikaty. Nowoczesna biżuterja — *Helena Wolska*. Ogródki działkowe — *W. D.* Podarunki świąteczne — *Pani Elżbieta*. O najkonieczniejszej z oszczędności — oszczędności czasu — *J. S.* Przechowywanie zapasów w piwnicach — *Stan. Schönfeld*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Dłuższe suknie — *Well*. Haft turecki. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring*. — autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

## W PROMETEJSKIEJ SŁUŻBIE

*W 60 rocznicę urodzin Marii Skłodowskiej-Curie*

Kim Ona jest. — Wszyscy wiemy: Chlubą współczesnej wiedzy, najwyższym wykwittem humanitarnych ideałów naszej epoki, dumą ludzkości i Polski. O tem wie dziś każdy człowiek, i każdy polak powtarza ze czcią Jej imię. Genjuszem swym i pracą odpowiedziała na wszystkie zarzuty i wszystkie wątpliwości, czy kobieta może być twórczynią na polu nauki, czy umysł jej równy jest męskiemu. To wiemy o Niej wszyscy.

A jednak, choć to tak wiele — jeszcze to nie wszystko.

Bo gdy zastanowimy się nad całokształtem życia i prac Marii Skłodowskiej-Curie, gdy poznamy szczegóły tego życia, cechy Jej charakteru i twórczości naukowej, historję Jej wielkiego wynalazku, — postać uczonej, wyrasta do wielkości legendy, nabiera cech nadludzkich.



*Mójam najgorętszą życzeniem jest powołanie  
Instytutu Radonowego w Warszawie.  
Maryja Skłodowska Curie*

Słusznie w swem przemówieniu w Sorbonie na uroczystości 25 lecia odkrycia radu porównał prof. Perrin wynalazek Marii Curie do legendarnego cudu zdobycia ognia przez człowieka; słusznie przepowiedział, że kiedyś przyszłe pokolenia tak patrzeć będą na Nią, jak na nowego Prometeusza.

Tak, jak on, pracą i poświęceniem wydiera z łona materji jej promieniotwórczą tajemnicę i tak samo z bezwzględnem zaparciem się siebie oddaje ją ludzkości.

Tylko ten nowoczesny prometeizm jest bogatszy, stokroć więcej złożony i o ileż żmudniejszy od dawnej legendy!

Jako studentka uniwersytetu paryskiego pracuje Marja Skłodowska po 14 godzin na dobę, zaznaczając jeszcze, że „wtedy dopiero czuje się dobrze“!

A gdy po paru latach pracy przyznano jej stypendjum, zwraca je z pierwszego zarobku — bo przecież „jest to własność publiczna” — czem wywołuje formalne zdumienie Zarządu stypendjalnego, gdyż podobny fakt zdarzył się pierwszy raz od czasu ufundowania zapomogi!

Gdy spotyka na swej drodze bratnią duszę uczonego wielkiej miary i człowieka wielkiego serca — Piotra Curie — na jego prośbę podzielenia z nim życia waha się długo, bo to małżeństwo oznacza rozłąkę z krajem, wyrzeczenie się działalności społecznej w Polsce, a ona pragnęła „swą pracą przyczynić się do zachowania ducha narodowego”.

Powraca więc do kraju, aby tu — niestety — przekonać się, że niema w nim narazie możliwości pracy: — bramy uniwersytetów krajowych były wówczas (r. 1894) dla kobiet zamknięte!

Wtedy Piotr Curie przekonał ją, że powinni przejść razem przez życie „w hypnozie wspólnych marzeń: Pani marzenia patriotycznego, naszego marzenia humanitarne i naszego marzenia naukowego”. Jak pisał w jednym ze swych listów.

Marzenie to rozpoczyna iść się w skromnych, spartańskich niemal warunkach życiowych. Utrzymują się oboje ze skromnej pensji profesorskiej Piotra Curie. — Uczona obywatelka bez służącej — jak za studenckich czasów; za laboratorium epokowej pracy służy historyczna już dziś szopa przy ul. Lhomond, dawny skład starych rupiec, z dymiącym piecykiem, i zaciekającym dachem; a gdy zaczyna się rozchodzić rozgłos ich pracy, gdy napływają subwencje od towarzystw, nagrody od akademii naukowych i dochody z wydawanych książek — wszystko to idzie na pokrycie kosztów nowych doświadczeń.

W r. 1903 Piotr Curie z małżonką odmawiają przyjęcia orderu legji honorowej, nie rozumiejąc zupełnie, jaki związek może zachodzić między nauką, a orderem! „Nie odczuwam zupełnie potrzeby orderu”, pisze Piotr Curie do dyrektora szkoły fizycznej — natomiast, największą potrzebę laboratorium! Nie uzyskał go, niestety, za życia, co jest do dziś dnia przedmiotem głębokiego żalu jego małżonki! Oboje państwo Curie byliby mogli zrobić wielki majątek — i oboje zgodnie wyrzekli się od razu wszelkich korzyści materialnych ze swych odkryć, nie tylko nie biorąc na nie żadnych patentów, lecz ogłaszając szczegółowo, dla wszystkich uczonych i fabrykantów wszystkie metody otrzymywania nowych ciał. Nauka i przemysł radowy rozwija się wspaniale — oni oboje pozostają ubogimi.

Gdy Henryk Becquerel odkrywa promieniowanie uranu, mylnie przypisując je fosforescencji, Skłodowska mocą swej genialnej intuicji odgaduje, że musi istnieć samorodny, nieznan dotychczas pierwiastek promieniotwórczy, i po niesłychanych męczarniach pracy laboratoryjnej odkrywa rad.



Instytut radowy

Ale od odkrycia go, do wydzielenia nowego ciała z minerałów uranu, dzieli jeszcze etap uciążliwej pracy. Piotr Curie interesował się głównie samą właściwością promieniowania radu, — wydzielenia go dokonała Marja Curie, kładąc — że znów przytoczę wyrazy prof. Perrina, — „kamień węgielny, na którym spoczywa cały gmach promieniotwórczości”.

W tej mistycznej pracy zagłębiania się w budowę wszechmaterji, w niedostępne dotychczas państwo atomów, znajdowali oboje małżonkowie rzadką rozkosz spełnienia wspólnego „naukowego marzenia”.

Przerwała ją śmierć Piotra Curie — nagle, przedwczesna. Genjalna wynalazczyni nie poddała się rozpacz. W pamięci męża czerpała siłę dalszej pracy, objęła ofiarowaną jej jednomyślnie po Piotrze Curie katedrę fizyki w Sorbonie, prowadziła dalej doskonalenie swego wynalazku — wychowywała swoje dwie córki, starając się, aby „nieszczęście nie okryło mrokiem ich dzieciństwo”.

Rząd francuski odznacza ją licznymi nagrodami, tworzy dla niej w r. 1913 Instytut radowy, a Marja Skłodowska - Curie oddaje temu instytutowi cały wydzielony przez siebie rad — majątek, wynoszący milion franków.

Gdy kobiety amerykańskie składają jej w 1921 r. 1 gram radu, wartości 100 tys. dolarów, nie chce przyjąć ani na godzinę aktu darowizny, dopóki nie sporządzi od siebie „drugiego aktu, ofiarowującego ten rad Instytutowi — bo mogłaby umrzeć nagle, i rad zostałby zaliczony do jej majątku! W tym czasie sama nie posiada nawet małego domku własnego na wsi, przedmiotu swych marzeń.

Wyczerpana i chora, w chwili wybuchu wojny staje do pracy na froncie, tworząc organizacje radiologiczne dla armji, prowadząc wraz ze starszą swą córką ambulansę, zakładając na czas wojny szkołę radiologiczną, z której wyszło 180 wykwalifikowanych sił kobiecych — spełnia swe marzenie humanitarne.

Czy to wszystko nie legenda?

Nie! to najwyższe wypełnienie mickiewiczowskiego wskazania, aby prawda była poezją, przekuwana w prometejskim ogniu ducha w stal czynu.

Gdy Polska odzyskała niepodległość, przybywa Skłodowska-Curie w 1921 r. do Warszawy i rozpoczyna pracę nad ziszczeniem swego marzenia patriotycznego: stworzenia instytutu radowego w Polsce.

O pomoc w tej akcji zwraca się do polskich stowarzyszeń kobiecych — które obiecują współdziałać z nią.

Za drugą jej bytnością w Warszawie, przed dwoma laty, położony został kamień węgielny tego instytutu. Zawiązał się „Komitet daru narodowego“, który zebrał pierwszy fundusz i rozpoczął budowę gmachu. Ale fundusz jest niewielki. Wobec ówczesnej sytuacji państwa, obiecane subwencje zostały skreślone, pierwotny plan instytutu ulec musiał znacznej redukcji.

A przecież instytut radowy, to nietylko możliwość dalszego rozwoju na polu promieniotwórczości: to broń przeciw najstraszniejszej pladze ludzkości, najważniejszy etap w planowej walce z rakiem.

W 60 rocznicę urodzin wielkiej uczonej powinniśmy to sobie uprzytomnić.

Cała prasa europejska poświęciła tej rocznicy liczne wspomnienia i artykuły. Zrobiła to, oczywiście, i prasa polska — zamało jednak zwracając uwagi na instytut — na to patriotyczne marzenie Wielkiej Rodaczki.

Rząd francuski wraz z Instytutem Pasteura wniósł dla Marji Curie instytut radowy. Jeśli rząd polski nie jest jeszcze na taką fundację dość bogaty, w każdym razie dziś już może dopomóc do jej stworzenia. Należy kołatać o to, należy nie ustawać w pracy nad stworzeniem tej placówki, wszelką drogą agitacji w prasie i społeczeństwie.

Kobiety polskie, do których zwróciła się Skłodowska-Curie, powinny przede wszystkim mieć tę działalność na względzie.

Jest ona mozolną i trudną, ale do spełnienia możliwą, gdyż w tworzywie ludzkich zabiegów, podobnie, jak w genialnie przez oboje Curie przeniknięciem tworzywie materji,—całość powstaje z wielości maleńkich cząstek.

Te cząsteczki pracy i ciągłych starań o utworzenie drogiej Jej sercu instytucji, niech składają kobiety polskie swej wielkiej przodownicze.

*Natalja Jastrzębska.*



## ODPOWIEDZIALNOŚĆ SPOŁECZNA

### IV

Do współdziałania z rodziną w wychowaniu jednostek społecznych powołaną jest szkoła.

O ogólnem odczuciu odpowiedzialności tej placówki świadczy to, że społeczeństwo porusza stale konieczność reformy szkolnej, lecz nic żadna reforma nie zdziała, dopóki pedagogzy nie staną na wysokości swego zadania. Silna indywidualność pedagoga rozsądzić może każdą spróchniałą ramę szkolną. Od niego zależeć będzie zawsze żywy duch szkoły. Jeśli profesor bierze na siebie odpowiedzialność jedynie za naukową treść wykładu, za sumienne wykonanie planu szkolnego,—duch szkoły żywym być nie może. Zaś największym zarzutem, jaki postawić można wszelkiej uczelni, jest jej skostniałość, martwota. Każda szkoła—od najniższej do najwyższej,—musi być organizmem żywym, bujnym, tętniącym zapalczewością życia, postępu, zwycięstwa.

Profesor, który nie weźmie na siebie odpowiedzialności za tętno życia w szkole i za tchnienie

w nią ducha, profesor, który ze swego przedmiotu nie uczyni tła, na którem wybija się jego odpowiedzialna indywidualność,—ani intelektu ucznia do przedmiotu nie porwie, ani nie rozbudzi jego śpiącego ducha.

Choćby najuczeniej wykladał o zaszczytnem powołaniu człowieka, jeśli sam nie jest tego powołania wykładnikiem—martwą tylko słuchaczowi przekaże literę. Jedynie wychowując samych siebie, możemy wychowywać drugich.

Skromna w definicji, głęboka w duchu jest odpowiedzialność szkoły ludowej. Zaszczepić prymitywne zasady etyki i kultury, dać elementarne podstawy nauki — oto co ma zdziałać szkoła ludowa. Podnieść należy szczególnie trudne stanowisko nauczyciela na wsi, na naszej wsi, przynajmniej, gdzie uświadomienie ludności o konieczności oświaty jest jeszcze uspięcone, a szkoła uważana jest, poniekąd, za instytucję wrogą. Odpowiedzialność nauczyciela ludowego zredu-

kowaćby raczej trzeba do stanowiska, jakie on sam zajmuje względem szkoły, niż do wyników, jakie osiąga.

Wziąwszy pod uwagę oporny i leniwy materiał, z którym ma do czynienia, przyznać można, że jest to iście syzyfowa praca i wymaga bezmała bohaterstwa w wykonaniu, tembardziej, że i warunki bytu nauczycielstwa ludowego są więcej, niż skromne.

Popularnie ujętem zadaniem szkoły średniej jest dać uczniom do pewnego stopnia zaokrąglone wykształcenie ogólne. Istotniejszą korzyścią dla ucznia jest wyniesienie ze szkoły średniej rozbudzonej i na odpowiednią drogę skierowanej indywidualności, zdolnej samodzielnie myśleć i pracować, orjentującej się w sztuce życia i poczuwającej się już do odpowiedzialności społecznej. W tym kierunku pobudliwa odpowiedzialność profesorów szkół średnich byłaby niezmiernie pożądana.

Najwyższe uczelnie prowadzić mają po obranej drodze jednostki już rozwinięte do pełnego rozwoju człowieka, pracownika i obywatela.

Profesor najwyższej uczelni, to dostojnik wiedzy, odpowiadający nietylko za kształtowanie indywidualnego intelektu przyszłych pracowników, lecz i za poziom naukowy samej uczelni, dający miarę wysokości kultury, intelektu narodowego.

Profesura uniwersytecka niedarmo uważana jest za jeden z najponętniejszych zawodów. Niezależność i samodzielność, przywiązana do stanowiska, umożliwia ciągłość swobodnej, indywidualnej pracy, bez zaprzeczenia siebie samego. A łatwiejsza zawsze odpowiedzialność tam, gdzie człowiek odpowiada na prawdę sam za siebie.

Z pewną restrykcją dotykamy kwestji odpowiedzialności duchowieństwa. Nie żebyśmy uważali, iż ono odpowiedzialności społecznej nie podlega, ale że sięga odpowiedzialnością poza społeczeństwo.

Powołanie duchowne nie podpada krytyce społecznej. Rozpatrując kwestję odpowiedzialności społecznej, nie chcemy się wdzierać do najwyższego zakonu — odpowiedzialności ogólnoludzkiej, dostępnego wybranym jednostkom, i zaznaczamy, że żadna społeczność, a więc i duchowna, nie dociera do bram ideału.

Chcąc społecznie osądzić odpowiedzialność kleru, musimy, uważając go za przedstawicielstwo społecznego kościoła, uczynić go za godność tego przedstawicielstwa odpowiedzialnym. W zakresie czynu i stanowiska społecznego kler musi być społecznie odpowiedzialny, o ile w tym zakresie pracuje, a podziwialiśmy niejednokrotnie piękne wyniki pracy społecznej naszych księży.

Ten rodzaj religijności, który jest tylko formą zewnętrzną, daje tylko zewnętrzny pokost społeczeństwu; żywa religja, która przekształca etykę człowieka, spaja wewnętrznie społeczeństwo. Przykładem takiej religji czynnej i istotnej świecić nam powinni nasi przewodnicy duchowni.

Mówiąc o czynnikach wychowawczych, niepodobna pominąć tak potężnej placówki społecznej, jaką jest prasa.

Lud i sfery robotnicze, do których dziś prasa dociera, potrzebuje oświaty i kierownictwa, — inteligencja — pomocy w wyrobieniu jasnego poglądu na całokształt prawdziwego stanu w państwie i jego stosunku do zagranicznej polityki. Powinna też znaleźć w prasie ów konieczny, stały łącznik z ogólnoswiatową kulturą, wyrabiający szeroki horyzont myślowy i pobudzający do nadążenia za ogólnym postępem.

Wkraczając na drogę partyjnej tendencyjności i zjadliwej walki przeciwnych sobie obozów, prasa zatracza wysoki styl. Oczywiście, nie mamy tu na myśli polemiki publicystycznej, zachowującej umiar szlachetnego taktu i powodującej się dobrem państwa, jeśli chodzi o człowieka, a oświeclającej z różnych punktów widzenia daną kwestję, jeśli chodzi o wybór dróg politycznych, czy socjalnych. Sprowadzenie walki partyjnej na teren napaści osobistych, nie wybierających w środkach, i naciągania sytuacji politycznych dla korzyści pojedynczych partyj, obniża powagę prasy i obciąża ją odpowiedzialnością nawskroś negatywną.

Dziennik, przemawiający dzień w dzień do czytelnika, nie może pozostać bez wpływu na urobienie jego poglądów. Tak więc prasa codzienna, mając wpływ na najszersze koła wszystkich warstw społecznych, co szczególnie podnieść należy, jest niepowszednio odpowiedzialną siłą w ewolucji wychowania społeczno-narodowego. I jeszcze: prasa, będąc niejako pryzmatem, przez który zagranica spogląda na całokształt społecznego życia narodu, bierze na siebie odpowiedzialność za opinię jego nazewnątr.

Zdajemy sobie sprawę, że kwestja odpowiedzialności społecznej niniejszym szkicem wyczerpana nie jest. Nad wielu poszczególnymi posturkami odpowiedzialności nie zatrzymywaliśmy się wcale, tak n.p. pominęliśmy odpowiedzialność sądownictwa, które, o ile nie rozstrzyga przestępstw politycznych, jest raczej odpowiedzialnością ogólnoludzką. Wielka odpowiedzialność sędziego, oparta przede wszystkim na osobistym wysokim poziomie moralnym, podporządkowana też być może odpowiedzialność i przed sobą samym, to jest przed własnym, niezależnym, wyszkolonem sumieniem.

Nie zajmowaliśmy się również odpowiedzialnością wolnych zawodów, z pośród których stanowisko lekarza, jako jedno z najwybitniej humanitarnych, wymaga szczególnego wyróżnienia.

Na wyrobionem poczuciu odpowiedzialności jednostek przeciętnych wznosi się gmach społeczny. Na dostojenstwie poczucia odpowiedzialności jednostek nieprzeciętnych, twórczych — polega ewolucja ducha w narodzie.

Azaliż ów genialny wieszcz, któryby nie wziął w siebie odpowiedzialności za miliony, zdołał być wykładnikiem króla-ducha narodu?

Zaliż ów wódz, któryby nie wziął w siebie odpowiedzialności za ideał całego narodu i jego honor, uratowałby jego sztandar?

Naród czci tych, którzy wzięli w siebie odpowiedzialność. Społeczeństwo szanuje tych, którzy stoją na straży swej odpowiedzialności społecznej.

Jest więc coś w tem poczuciu, co tworzy wielkość człowieka, to coś — nazwijmy powagą ducha, świadomego swej dostojności w ucłowieczeniu. J. Y



M. H. SZPYRKÓWNA

## GŁOS BEZIMIENNEJ NIEDOLI

Człowiek piszący ma ten, wątpliwy zresztą, przywilej, że przeżywa więcej bólów społecznych, niż inni, dlatego bodaj, że do niego czytające jednostki zwracają się ze swemi poszczególnymi przykrościami i niedolą, a on jest jeden — i czasem czuje się, jak poduszka do szpilek, pokłuta aż do serca. A natomiast niewątpliwem upośledzeniem piszącego jest, że w olbrzymiej większości wypadków, nic na niedolę bliźniego poradzić *de facto* nie może. I oto zostaje mu jeden środek, którego też się chwyta: doprowadzenie tych, przez nikogo niedosłyszanych głosów, do wiadomości publicznej. Ujęcie rozproszonych skarg w jedno łożysko i danie ich do wiadomości wszystkich, którzy mają uszy ku słyszeniu i — słyszą. Rola to bardzo uboga w porównaniu z prawdziwą pomocą, rola pośredniczą tylko, rola zwykłego przewodnika potężnych prądów, które przez niego się przedostają do przeznaczonych miejsc. Zaniesienie wiązki drzewa zamierzającemu dla napalenia w piecu jest stokrotnie miłsze sercu, które nad czyjąś nędzą się krwawi, niż napisanie o tej nędzy najwspanialszego artykułu, czy noweli. Ale wiązek drzewa trzebaby dużo więcej, niż na to człowieka przeciętnego, — a zwłaszcza żyjącego z literatury — stać. I w olbrzymiej większości wypadków trzeba poprzestać na pomienionej już roli głośnika, podającego szerokim masom echa z dalekich i wielkich rozłogów życia.

Niedawno drukowałam nowelkę zaduszną, której bohaterką — jeśli tak rzecz można — była ochroniarka bez posady. Złożyła, dla zdobycia jej, votum w kościele, i dokoła tego tematu obraca się nieskomplikowana akcja, maleńka i szara, jak szare i maleńkie jest życie niewidocznych pracowniczek. Dlaczego obrałam ochroniarkę? Trudno mi powiedzieć. Jest to już sprawa nie naszej kompetencji, dlatego, pisząc, uderzamy w ten właśnie klawisz, który oddźwięknie właściwym, poszukiwanym tonem.

I oto klawisz oddźwięknał. Gdybym mogła zresztą pokolei drukować listy, jakie z powodu artykułów społecznych dostaję, wyświetliłoby się niejedno ciemne miejsce na naszym niebie. Większość ich jednak zaopatrzona jest w klauzule, że list przeznaczony jest wyłącznie do wiadomości autorki. Są jednak i inne, i parokrotnie już w „Bluszczu“ poruszałam sprawy z listów czytelniczek. Ale oto, w związku z tą ostatnią zaduszną nowelką, dostałam, między kilkoma prywatnemi, jeden niejako zbiorowy list, od imienia ochroniarek, jako takich. I ze wstydem muszę przyznać, że, pisząc, nawet nie myślałam, ile zadawnionych smutków po nigdy niespełnionych votach może poruszyć ten temat!

Myślę, że nigdzie lepiej, niż w „Bluszczu“, nie mogłabym podać do właściwej instancji tej bezimiennej skargi. Popierwsze dlatego, że jest to pismo, doli i niedoli kobiecej oddane na trybunę. A po drugie, — bo może dać bezpośrednie wyniki. Jakże często na głuchej wsi, lub dalekiej prowincji panie nie wiedzą, gdzie szukać dobrej ochroniarki, pomocnicy do gospodarstwa, bony. Może niewysłuchane vota maleńkich, szarych ofiarniczek, klęczących u ołtarzy po wszystkich kościołach Polski: może teraz dojdą do instancji niebieskich i skłonią ziemskie, szczęśliwsze siostry do wejrzenia w los tych, których nawet uśmiech jest żalony, jak tęcza poprzez deszcz?

Pozwolę sobie przytoczyć wyjątki. Opuszczam początek osobisty i, robiąc wyciąg i skróty z konieczności, zmieniam o tyle, o ile to jest dla dobra mojej korespondentki potrzebne.

„...zwracam się do Sz. Pani z gorącym podziękowaniem: w imieniu swoim i ponadto całego szeregu wydziedziczonych pracownic-ochroniarek, usuniętych w czasie redukcji i likwidacji, o których los nikt się dotąd nie zatroszczył. A czyż nie możnaby dać im innego zajęcia? Innego kierunku pracy? Zuży-

kować ich młode siły i zapał tak, aby się nie czuły wyrzutkami społecznymi w odrodzonej, wolnej ojczyźnie?

A przecież, chyba się to nam należy! A przecież większość z nas oddała całą młodość i całą miłość dźwiatwie, bądź tu, bądź na wygnaniu, aby ją zachować właśnie na obywateli-polaków tej przyszłej, tej wymarzonej Polski!

Ludzie mało może wiedzą, ile wśród ochroniarek było idealistek i zapalonych marzycielek! ile ofiarnej pracy wkładały w uczenie dźwiatwy zasad narodowych i chrześcijańskich, wierząc, że z dobrego człowieka będzie zawsze i dobry obywatel! Ileż to młodych entuzjastek za czasów rosyjskich u nas narażało się na prześladowanie, i kary, i więzienie zato, że uczyły dzieciaki czytać i pisać w języku ojczystym! A myślałyśmy nietylko o dzieciach: poprzez dzieci była najlepsza droga dla dotarcia i do rodziców, nieraz wychowanych w zupełnie wynarodowiających warunkach. Wieleż miłych i głęboko wzruszających wspomnień mam z lat przedwojennych, kiedy prowadziłam pogadanki narodowo-histeryczne dla dzieci, poruszając najwspanialsze momenty naszych dziejów, najwznioślejsze postacie, ażeby przechować w młodości wygasające pod ciężarem warunków uczucia narodowe! Dźwiatwa to powtarzała w domu rodzicom, a ci nieraz ze łzami się przyznawali, że poraz pierwszy wogóle o tem wszystkim słyszą, i że, gdyby im to mówiono, jakże inaczej staraliby się żyć!

To mię zachęcało tembardziej. Oddawałam pracy wszystkie siły, całą miłość—bo przecież kochać człowiek musi, jeżeli nie innego człowieka, to ludzkość w jej całości i idei! I nie śniło mi się nawet, że wtedy właśnie, kiedy te dzieci wychowam, i kiedy oczyma własnymi ujrzę odrodzoną Polskę: że wtedy usuną mię, jak zbytyczny grat, jak wytchniętą zabawkę gumową, i powiedzą: Dla ciebie nie mamy miejscal

A jednak tak się stało: Przyszła redukcja, która wytworzyła tyle tragizmu w życiu ludzi, tyle ofiar pożarła, tyle wspaniałych, szlachetnych jednostek wyrzuciła poza nawias! a niema dotąd żadnej nadziei na lepsze jutro! Przyjdzie! przyjdzie niewątpliwie: ale czy dla nas? Wątpię! Gorycz zalewa duszę, bo własna niedola zawsze człowiekowi najbliższa, ale staram się ją zwalczać rozumem i sercem. Nie danem będzie nam, ale, daj Boże, aby chociaż to, cośmy zasiały, przyniosło plon prawdziwy! Daj Boże,

aby pokolenie jutrzejsze było szczęśliwsze, i aby jutrzejsza Polska miała dla każdego, kto chce pracować, największe dobro i pożądanie nasze, wydziedziczonych pracownic:—pracę!

Modliłam się dzisiaj gorąco, po przeczytaniu noweli Sz. Pani, aby „Votum“ rozbudziło serce w społecznie czujących jednostkach—aby jakieś towarzystwo, grono, liga—pomyślały znowu o dzieciach bez opieki, które wyrosną na zakałę i szkodę kraju, żeby zgromadziły je w ochronkach i zatrudniły w ten sposób cały szereg nieużytych dziś do niczego ochroniarek, które wydeptują napróżno progi po biurach pośrednictwa, tak jak Pani właśnie pisała. Szukanie tam i gdziekolwiekbądź posady nasuwa smutne refleksje—biuralistki, te współtowarzyszki pracy, jakgdyby wyzbyły się lepszej części człowieka, odnoszą się do petentek lekceważąco, odrzucają monosylabami odpowiedzi zniecierpliwionym głosem, nie siląc się nawet na grzeczność;—ach, i te nawet instytucje, niby—pomocy są ciężką, a najczęściej—niepotrzebną Golgotą dla nas bezrobotnych! I nietylko ta dziewczyna u Sz. Pani w noweli odprawiała nowennę. Takich dziewcząt wśród nas jest legjon, i czekamy na jedną tylko łaskę i jeden cud: pracę! Jakże wypowiedzieć wstyd, gorycz i cierpienie, że ja, pełna sił, jestem ciężarem rodzinie, a stary mój ojciec sam jeden musi pracować na nas młodych! Czyż naprawdę tak musi być? Czyż naprawdę w tej nowej Polsce nie zajmie się użytkowaniem naszej pracy nikt? Są, przecież, o Boże!.. są jakieś ministerstwa, opieki, ligi? A gdzież jest ta liga, która przypomni sobie, że oto dla nas codziennie wstaje głodny świt?!

Votum „zmusiło“ mię do spowiedzi—do wypowiedzenia nagromadzonego w sercu żalu za tysiące bezimiennych, które tego nie robią. Niech Szanowna Pani da głos tym wszystkim, którzy przemówić nie mogą. Niech Pani poruszy tę sprawę na łamach prasy, bo Jej słowo przeniknie tam, gdzie nasze nie dotrze, a może, jak w nowelce, stanie się dziwny cud i Polska sobie o nas przypomni! Proszę nie sama! proszę w imieniu wszystkich pracownic, które zostały poza nawiasem—i zgóry w imieniu wszystkich dziekuję! Może się stanie cud? ...“

Nie sądzę, żebym coś dodać potrzebowała—oprócz gorącego pragnienia, aby się cud stał, i do redakcji nadeszło tyle ofert w tej sprawie, że dla niejednych, ginących od żalu, oczu—świt tego dnia, nareszcie!.. zabłyśnie troszką radości!





MARJA WALEWSKA

Portr. Roberta Lefebre'a.

## PANI WALEWSKA

Śnieżystej sukni płynie tren — modą empire —  
 Przed kimś z mudnie uczony składam révérence  
 — To najjaśniejszy cesarz — serce bije — Sire —  
 Złociste orły wkoło szumią — Vive la France!

A potem, pełne zwątpień wieczory zadumy  
 I długie zapatrzenia w najjaśniejszy dar.  
 Przyjaciółek, petentów i doradców tłumi,  
 I zaklęcia — dla Polski — i szczęście bez miar!

Zapatrzona w swą gwiazdę, szłam za nią bez końca.  
 Pani szambelanowa z Walewskich stron.  
 A gwiazda wciąż wzrastała do rozmiarów słońca,  
 Aż — zgasła wysilona. I to był mój zgon.

Został tylko w kobiecym sercu wieczny ból,  
 Na skraweczku atlasu złotem szyte „N”.  
 Gdzieś, w wiedeńskim Schönbrunnie umarł Rzymski Król  
 I czernieje samotny grób na Sainte-Hélène.

## WSPOMNIENIA Z ROKU 1831 NA LITWIE

Zbliżały się kontrakty św. Jerzego. Mój ojciec, uprzedzający zawsze potrzeby swoich wierzycieli, wysłał był umyślnego z należnością do Wilna. Z nim zabrał się i pan Sobolewski, ciekawy wiadomości, ale obaj wrócili z połowy drogi, gdyż trakty, wypełnione wojskiem obu orężów, były nie do przebycia. Od Warszawy zbliżali się nasi. Pod Wilnem już był Giełgud i Dembiński z jazdą ochotników poznańskich, a partje rzemieślników i akademików wychodziły co noc prawie z Wilna, by się złączyć z wojskiem polskim. Rozjątrzony tem wszystkim, Chrapowicki groził miastu zniszczeniem za lada sympatję, okazaną dla wybawicieli; armaty z otwartą paszczą, wyrzuczone na mieszkańców, czekały hasła na świeżych okopach, usypanych w miejscu ślicznych bulwarów, a brama Zamkowa leżała w gruzach. Listy z Wilna, pokłute i złane octem, z powodu panującej już tam cholery i gorączki, brzmiały jak najsmutniej.

Ci, co w nadziei bezpieczeństwa uciekli ze wsi w mury, zazdrościli mieszkańcom wsi. Nam też było bardzo dobrze, mieliśmy powietrze świeże, swobodę i dach własny. Pilnowaliśmy ścian swoich, nie zważając na listy anonimowe, radzące w lasy uciekać; ale lasy nasze, rzadkie, jak gaje, nie mogły dać bezpiecznego schronienia; ledwie konie nasze kryły się tam za bagniskami nato, by za lada lepszą wieścią wracać znowu do stajni. Nowiny złe i dobre krzyżowały się z sobą codzień, co godzinę. Te postrachy jednak nie były płonne, nieszczęśliwi żydzi padali, jak muchy we Świrze, a jeśli i do nas nie zawitała straszna zaraza, po Bogu winniśmy to byli ostrożności mego ojca, który zaprowadził ścisły kordon, niedopuszczający nikogo z miasteczka, a folwark w Nabrzeżu, przeznaczony na szpital z całym przyborem łóżek, lekarstw, aż do lektyki, stał pustką, bo straszna pani zaraza lubi niespodzianki sprawiać i, skoro gdzie jest oczekiwana, nie przybywa.

Tymczasem plądrował z powiatu do powiatu pułkownik kozacki Boncenthal, mający pod sobą zbiór milicji orenburskiej, złożony z dziczy Tatarów, Kabardyńców, Kabyłów, Kakońców, Mongołów, a nawet i Chińczyków. Już był zburzył w Wilejskiem Ilję Radziszewskich, w naszym powiecie zrabował Łyntupy, wieś Buczyńskiego, który z chorą żoną był w Wilnie, oddzierając posadzkę dla zdobycia ukrytej tam broni i pieniędzy. W Szemetowie poprzestał na wystrzeleniu danielków w parku, a kazawszy sobie z jednego z nich upiec pieczeń, zostawił drugą „dla pana, jak wróci z lasu“. Na trzeci dzień Boncenthal wjeżdżał na dziedziniec Dobrowlan;

celem jego wizyty było jedynie to, że nie miał co z sobą zrobić. Wysłał był bowiem swego adjutanta do Wilna po wieści, lub po rozkazy, a trzeba było tymczasem dwustu dzikich ludzi przekarmić. Roztasował się więc szczęśliwie w naszym dworze, sam z dziesięciu oficerami zajął całe gościnne piętro, a dzicz koczowała na gumniisku, zjadając codzień kilka wołów *et le tout à proportion*. Tak, że gdy po tygodniu takiego podejmowania przyszło obliczyć spiżarnię i śpichrze, nie było co dać naszej czeladzi, a koniki poraz pierwszy w życiu stały bez owsa do nowego. Był to jakby dodatek do zsypywanych magazynów, dostarczania sucharów i płótna, których wymagano od dworów dla wojska od samej wiosny.

Puszka z prochem, czy z kasą stanęła przed gankiem w odkosach. Dniem i nocą strzegła ją warta, a za panem pułkownikiem, gdziebądź się ruszył, postępował ślad w ślad żołnierza w białym kitlu, z pistoletami u pasa. Codzień o zachodzie słońca przychodził cały pułk na nasz dziedziniec, by odmówić pacierz przy odgłosie bębna, i wówczas napatrzeć się można było na te żółte, czarne, płaskie, bez żadnej myśli twarze, z oczami małymi i ukośnemi, w których dusza spała, a błyszczały żądze tygrysie, wstrzymywane tylko żelazną subordynacją, tak nawet, że adjutant pana pułkownika odzywał się przed naszymi panami: „Czemu to Pułkownik nie pozwoli nam pohulać!“—Pułkownik ten był rodem francuz, nazywał się realnie Saint-Clair, a po żonie, kupcównie z Moskwy, Boncenthalem. Powierzchność jego i ubiór, aż do nahajki, były czysto kozackie, ale rozmowa salonowa, francuzczyzna najczystsza, komplementy z XVIII wieku, a nauka nielada! Wyglądał na eksmnicza, wyswobodzonego z czasów republiki, a rad, że nietylko zdziwi, ale i zaintryguje swoją wiedzą, dysputował z kapelanem po łacinie. Historję papieży znał doskonale, a raz, spotkawszy siostrę moją, wracającą od chorych w czarnej sukni, w fartuszkach i kapeluszu białym, witał ją, jako córkę świętego Wincentego. Dziwy plótł, opowiadając swoją biografję: jak raz miał być rozstrzelany, raz był zakopany na polu bitwy, jak omal się nie utopił na Wołdze, płynąc z żoną i z dzieckiem na rękę i t. p. awantury, których trzeba było słuchać i udawać, że się w nie wierzy.

Przy tym kozaku tajemniczym odbijał elegancki major Korf, kurlandczyk, spięty, jak osa, czy jak żołnierz mikołajewski, w mundurze gwardyjskim: wąsy jego i hiszpanka, czarne przy jasno-blond włosach, rysy delikatne i ja r g o n francuski, czyniły go wiel-



ce pewnym siebie, zarozumiałym i zakochanym w sobie. Udawał on znudzonego, zniechęconego tem życiem tułackiem z pół dzikimi ludźmi, a jednak tak w tem życiu podobał, że dopilnowawszy, jak kot upadającego sadła (nadgryzłszy może sam nawet sznurka), został pułkownikiem na miejscu Boncenthala, któremu po skończonej kampanji pułk odjęto. Co się z nim później stało, nie wiemy zupełnie.

Po dwóch wizytach, nieproszonych i niedziękowanych, mieliśmy w końcu maja trzecią, bardzo miłą i niespodzianą, ale zato krótką, przelotną, jak meteor! Generał Dembiński po batalji pod Poniewieżem, rozstawszy się z Giełgudem, z ośmioma tysiącami rejterował się zwolna, spokojnie, roztropnie i miał dniówkę w Niestaniszkach. Sam się intromitował u proboszcza Skaliszewskiego, trochę przerażonego tą liczbą owieczek, ale go uspokoiły woły i fury z Dobrowlan, po które w imieniu wodza przyjechało kilku oficerów do mego ojca. Chora obłożnie na febrę, nie widziałam tych gości. Jednemu z nich dano konia ze stajni, a furman nasz Leon ruszył na drugim cichaczem do obozu, ale go od granicy rząd pruski odesłał napowrót. Ukazanie się naszych zelektryzowało szlachtę okoliczną. Pan Niewiadomski przy-

wiół kilku dorodnych synów, i przedstawiając ich generałowi Dembińskiemu, prosił, aby ich raczył przyjąć w swoje szeregi. Lecz generał, wskazując na swe liczne wojsko, odpowiedział, że „nie chce być odpowiedzialnym za nowych żołnierzy, nie wiedząc, czy doprowadzi tych, co mu już powierzono“.

Pułkownikowa Dederkowa, doczekawszy się od tak dawna wyglądanych i przepowiadanych gości, kręciła się i częstowała, odchodząc prawie od przytomności, a w braku bohatera z kresą, kontentowała się chorym, którego zostawiono w plebanji pod jej opieką. Był nim major Jeżewski z Poznańskiego. Usiadła przy jego łożu pani pułkownikowa, dojeżdżał doń Sobolewski i felczer; stan chorego groził niebezpieczeństwem: była to silna diarja, ale trafne leki i młodość pacjenta dopomogły. Chory po kilku dniach wracał do zdrowia pod troskliwą strażą swojej opiekunki, a gdy raz koszyk malin innemi drzwiami dostał się do p. majora i ten już, już pierwszą jagodę z upragnieniem niósł do ust,—pani pułkownikowa wpadła czerwona od gniewu i, wyrwawszy mu koszyk z rąk, uciekła z pokoju sążnistemi krokami. Daremnie biedny major wołał za nią: „Okrutna pani!“—pułkownikowa nie dała się ubłagać. (d. c. n.)



MAX WIT

5

## PROFESOR

— Jedno i drugie.

Opuściła powieki. Zrobiło jej się nagle gorąco; przygotowany ostry żart spłynął z języka. Nie było w niej ani odrobiny złości.

— Panno Jadwigo! — ciągnął — w jaki sposób pani oczarowała „Starego“? To mi się zupełnie w głowie nie mieści. Nieprzejednany przeciwnik kobiet, gotowy je skazać na wieczyste wygnanie z naszej planety, nagle daje się zdobyć takiej dziewczynce!

— Wypraszam sobie tytułowanie mnie dziewczynką! Jestem magistrem zoologii i mam 24 lata! — skończyła z komiczną, nadąsaną powagą.

— Przepraszam, magistrze zoologii! — Nitka tłumionego śmiechu zawibrowała znowu w jego głosie. — więc, panno Jadwigo, jakimi czarami go pani zdobyła?

Podsunęła mu pod nos zeszyt z rysunkami.

— Oto moje czary.

Ale w tej chwili nie patrzył już na rysunki.

— Jakież ona ma paluszki! przecież to rączyny laleczki...

— Śliczniutkie! — dodał głośno.

— Jakto, śliczniutkie, co śliczniutkie? — zapytała, obrażona.

— Ręce.

To było nieoczekiwane. Poczwała łzy w oczach.

— Panie doktorze! pan nie ma prawa tak... dalej nie wiedziała, co właściwie chciała powiedzieć.

Drapieżca był w jego spojrzeniu, gdy spokojnie, podnosząc się, zapytał:

— Co nie mam prawa?

— Przeszkadzać mi, gdy pracuję — wyjąkała i, opanowawszy się, wesoło zmierzyła go oczyma.

— Cha! cha! — śmiał się zaraźliwie, pobudzając ją także do śmiechu. — Nie będę przeszkadzał, wynoszę się; rozumiem już, jak „Pani Magister zoologii“ opanował staruszkę! Wychodzę. Proszę mi darować, że zająłem czas, i proszę się nie gniewać! — dodał

dziwnie miękko, wyciągając do niej rękę,—pracujemy tu razem pod bokiem profesora i musimy być dobrymi kolegami, magistrze.

Podawała mu rękę bez namysłu.

— Rozumie się, doktorze. Zgoda.

Gdy została sama, nie mogła się uspokoić. Ręka drżała, linje krzyżowały się i mąciły, wzajemnie przeszkadzając sobie.

— Ręce! — Oglądała uważnie małe dłonie, o dziecinnych paluszkach. — Ot, zwyczajnie, ręce. Przecież zamiast na rysunki, patrzył na te palce. Dziwactwo, lub... Et, wiatry ma w głowie — przypomniła opinię profesora—a przecież nie można się na niego gniewać. „Musimy być dobrymi kolegami”— powiedział. Owszem, nadaje się na kolegę. — To przyszłe koleżeństwo z Jeżowiczem bynajmniej nie nastęrczało niczego przykrego: było nawet pociągające i miłe.

## VII

Rzeczywiście, pojmował to koleżeństwo poważnie. W ciągu tygodnia traktował ją, jak mężczyznę, właściwie, jak kogoś, pozbawionego płci.

— Panno Jadwigo! proszę o 8-my tom „Zentralblattu“ biologicznego — wołał przez ścianę pracowni.

— Panno Jadwigo, pięciutko apochromaty, bo nie mogę się ruszyć!

— Panno Jadwigo, proszę przyjść popatrzeć na ten preparacik: — Cudo!

Spokojnie podnosiła się od swej pracy, przynosiła żądane przedmioty, lub nachylała nad mikroskopem, by się przyjrzeć „wspaniałemu preparatowi”. Nawzajem wołała go do siebie, prosząc o objaśnienie niezrozumiałych zarysów obserwowanych obrazów, lub wyjaśnienie nowej, technicznej metody, czy stosowanego gdzieś terminu. Zjawiał się zawsze szybko i, nie rozwodząc, lakonicznie, krótko i poprawnie rozwikływał węzeł zagadnienia. Gdy objaśniał, zdawało się, że wogóle świat odeń szybko ucieka: pozostaje jedynie zjawisko, czy rzecz, o której mówił; nawijał na nie wątek swej myśli, koncertował całą psychiczną uwagę i mózgowy wysiłek, przeglądał przeto samo sedno rzeczy. Ta umiejętność absolutnej koncentracji na zajmującym go zjawisku była niemal genialnym objawem: jej właśnie zawdzięczał całą swą młodość, zdobywaną z dnia na dzień, wiedzę i sławę.

W takich chwilach była dlań czemś zupełnie obcym, bez znaczenia; ale właśnie w tych chwilach, zamiast słuchać, co mówi, chwytala jeno dźwięki, nie rozumiejąc słów. Zawieszona na ustach, chwytala każdą zmarszczkę myśli na czole, zgarniała łagodnie powłokę skupienia, oblekającą tę twarz ogorzałą, wysuszoną afrykańskim słońcem. Wydawał się jej pięk-

nym, chciała, aby tak mówił długo, bez końca, by mu się mogła przypatrywać. Gdy tylko kończył i podnosił na nią wzrok z budzącymi się błyskami uśmiechu, czar pryskał; nienawidziła go prawie za te śmiejące się oczy i zmysłowo wyginające się usta, na których z przerażeniem, czytała—„Pragnę” — nienawidziła go, modliła się, aby wyszedł. Gdy zostawała po takiej scenie sama, była wytrącona z równowagi: praca nie szła, rysunki wykoślawiały się potwornie, skakały zawzięcie pod szkłem mikroskopu, błyskały skrami śmiechu, patrzyły na nią jego oczami; zabarwione karminem warstwy mięśni wyginały się w łuki jego ust i wołały — „Pragnę!” — rzucała z rezygnacją ołówki i odchodziła od mikroskopu. Właściwie całe poprzednie skupienie rozlało się gdzieś po kątach pracowni, zdarło się na strzępy, i błędziło po przekwitających za oknami bzach, i czaiło się po drzwiach jego pracowni. Nie zdawała sobie dobrze sprawy z tego, co się z nią, właściwie, dzieje. Nic się nie zmieniło, nic! właściwie nie było żadnych przyczyn. Przecież wsłuchiwała się w jego kroki za ścianą i cichy szelest przewracanych kartek, gdy czytał.

Profesor, ożywiony przyjazdem Jeżowicza, zajęty oglądaniem przywiezionych preparatów, czytaniem sprawozdań i dyskusjami ze swym asystentem, nie spostrzegwał niczego, lecz gdy przyjrzał się ostatnim rysunkom, oniemiał.

— Panno Jadwigo! ależ to zupełnie co innego! ten, na przykład, nie oddaje zupełnie obrazu mikroskopowego, a ten się pani zupełnie nie uda! — podkreślił grubo czerwonym ołówkiem tu i tam.

— Przemęcza pani oczy — dodał łagodnie, widząc ból w jej twarzy — mouche volante, choroba mikroskopujących: wibracja linji, wywołana zmęczeniem wzroku, uporczywie wlepionego w okular. Musi pani odpocząć parę dni. To znany objaw; jeśli pani nie usłucha, zepsuje dużo papieru i nic dobrego nie narysuje. Proszę pójść na spacer; nie dam ani jednego więcej preparatu! udzielam urlopu na dwa dni. Praca nie ucieknie: Zanim zrobię korektę, zdąży pani wszystko narysować.

— Rzeczywiście, panie profesorze, — pochwyciła zadowolona, — widocznie zmęczyłam wzrok.

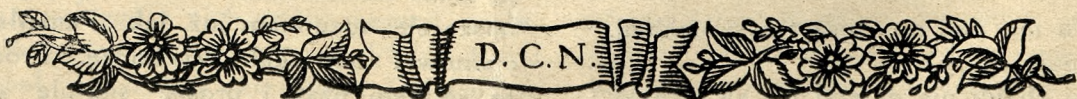
Uspokoilo ją ta mouche volante. — Zgoła zapomniałam o tym objawie zmęczenia wzroku: oto przyczyna mego niepokoju i popełnianych błędów!

Cieszyła ją ta prosta, fizyczna przyczyna niepokoju. Było w tem ukojenie, świadomość, że po dwóch dniach wszystko przejdzie, że będzie zupełnie zdrowa.

Ubrała się pośpiesznie i zapukała do Jeżowicza.

— Proszę!

— Chciałam doktora pożegnać: dostałam urlop na dwa dni.



W. MIŁASZEWSKA

22

## KACZĘTA

(powieść)

Tak pisał Marek. I pewno właśnie nazajutrz słońce zabłysło, i on wyszedł przed dom, na rozłożoną ulicę, podniósł ku górze swoją zmęczoną twarzyczkę, uśmiechnął się...

Wtedy to, wtedy podbiegła ku niemu śmierć. Małeńka była, schowana w szarej kulce z ołowiu, więc jej nawet nie spostrzegł. Nie przyciąła się podstępnie w cieniu, nie podpełzła z boku ukradkiem... Zobaczyła to dziecko, w pełnym słońcu stojące, i nie zmyliła drogi: trafiła prosto w serce...

Opowiadał ten kolega, ten Józio, że Marek stał przez chwilę i ciągle się uśmiechał. Potem dopiero nagle zbieł na twarzy, podniósł lewą rękę ku piersi (w prawej ciągle trzymał karabin) i upadł w tył, na bruk. Nie byłam tam, a wszystko widzę i wiem. Widzę, jak te długie rzęsy Markowe zatrzępotały, ukazując, to znów chowając jego ostatnie spojrzenie. I słyszę te ostatnie, cichutkie słowa, gdy go przybiegli ratować:

— To nic...

Co chciałeś powiedzieć, Mareczku? Że już nie boli? Że nie boisz się już niczego? Że nie żałujesz życia? Coś ty pomyślał w tej jedynej chwili, takiej króciutkiej, a może dłuższej, niż całe twoje istnienie? Czy pamiętałeś o nas, o domu, o naszej strasznej rozpacz? Może chciałeś ułagodzić mój ból i do mnie tak zdaleka szepnąłeś: „to nic, ciociu! to przejdzie... to przeszło...”

Teraz rozumiem dobrze, dlaczego nigdy nie mogłam sobie wyobrazić, jaki ty będziesz, gdy już dorosniesz. Bo ty nigdy nie będziesz dorosły, Marku! Stajesz mi przed oczami coraz inny, uśmiechasz się i płaczesz... Masz roczek, dwa, masz siedem lat i dziesięć i piętnaście... Dwoisz, się, troisz w mych oczach: widzę twoją buzię małeńką na wysokości stołu, widzę twoje kolanka, pełne sińców, twoje ręce, powalane niebieskim atramentem... Słyszę, jak skrzypi twoje krzesło, kiedy rysujesz, pochylony nisko nad arkuszem papieru... Jesteś małeńki, to znów duży, wyrastasz z ubrań swoich tak prędko, że aż się prawie gniewam... Chodzisz po domu w białej sukience, to znowu w bluzie uczniowskiej, zawsze trochę wyszarzanej i zawsze za kusej... Ale nigdy nie przejdiesz poza granicę dziecinnych lat...

Kilka dni temu, ubierając kwiatami potrecik, zrobiony z jego ostatniej fotografii, powiedziałam Walerce:

— Marek dziś skończył szesnaście lat.

A to nie prawda. Nigdy ich, nigdy nie skończy. Przyjdzie rocznica jedna, druga, dziesiąta... Adelka, Tomek i Staś będą mówili:

— W tym roku Marek zdawałby pewnie maturę. Lub też:

— Dziś Marek byłby już pełnoletni...

Lub może (kto to wie?):

— Teraz Marek z pewnością byłby już wielkim malarzem...

A tymczasem on już nigdy matury nie zda, nigdy nie będzie sławnym malarzem, ani choćby zwykłym, dorosłym człowiekiem, takim, jak Tomasz, na przykład... Zostanie zawsze ten sam: smukły i wąty, najdroższy sercu chłopczyzna, z dziecinnymi oczami, w których od urodzenia mieszkała jego wczesna śmierć...

2 kwietnia

Wczoraj, nakrywając do stołu, postawiłam znów sześć talerzy. To mi się jeszcze przytrafia. Adelka, która szyła pod oknem, spojrzała na mnie jakoś dziwnie, ale nie powiedziała ani słowa. Dopiero Tomek, wszedłszy do jadalni, zapytał:

— Co to? Prima Aprilis? Ciocia nam niespodziankę szykuje?

Popatrzyłam na niego, nie rozumiejąc.

— Kogo się ciocia dzisiaj spodziewa? Kto będzie na obiedzie?

— Kto będzie? — odparłam — przecież ty, ojciec, Adelka...

I nagle zauważyłam te dwa nakrycia zbyt czyste. Zabrałam je czempredzej, a ręce mi się trzęsły...

— Ciocia, to też... — mruknął Tomek i odwrócił głowę ku oknu.

Adelka nagle odłożyła robotę i — wybuchając płaczem, — rzuciła mi się na szyję.

Pocziwa ta Adelcia, ale mi się wciąż zdaje, że ona bardzo prędko zupełnie o Marku zapomni. Nie dlatego, żeby go nie kochała, tylko poprostu — że młoda. A młodość ma swoje prawa, rwie się do życia, od smutku jaknajdalej ucieka.

Ot, w pierwszej chwili, jak przyszła ta okropna wieść... Nawet myśli zebrać nie mogłam. Z pół godziny musiałam cucić Adelkę, która zemdliała i leżała na kanapie, jak martwa. Kiedy nareszcie, nawąchawszy się amonjaku, octu i czego tam nie miałam pod ręką — otworzyła oczy, zaczęła strasznie płakać i lamentować.

— Marku! Marku! — krzyczała, zanosząc się od płaczu — To niemożliwe! Ja tego nie przeżyję! Zabili go! To niemożliwe! O Boże!

I szlochała tak, i gadała nawpół przytomnie do wieczora. A potem usnęła ze zmęczenia, z wyczerpa-

nia i spała twardo, jak kamień. Rozebrałam ją, nakryłam kołdrą — nie obudziła się przez całą noc.

Nazajutrz znowu płakała prawie bez przerwy i śniadania wcale nie tknęła. Przy obiedzie łyknęła już coś nie coś, a potem umyła oczy zimną wodą i poszła do krawcowej obstałować żałobę. I już po powrocie do domu więcej tą żałobą była zajęta, niż biednym Markiem...

Ja jej tego za złe nie biorę, broń Boże! Młoda jest, a zresztą trudno wiecznie tylko płakać i płakać. W duchu to nawet rada byłam, że znalazła sobie zajęcie: a to jak będzie lepiej, czy dół krepą obszyć, czy zostawić spódniczkę gładką, a krepę tylko przy mankietach i przy kołnierzu?

Całe dwa dni tak biegała: to do miary, to za kapeluszem, to znowu stare sukienki do farby oddawać... Śpieszyła się ze wszystkim, bo nadchodziły święta i sklepy mieli zamykać w wilję o szóstej...

Mój Boże, co to były za święta! Na wieczerzę nikt nawet nie spojrzął; zresztą, wieczerzy nie było: tylko śledź i kapusta z grzybkami, której trochę Stasiowi odgrzałam, bo właśnie z frontu o dziesiątej przyjechał: na parę dni urlop mu dali. Przesiedzieliśmy cały wieczór, rozmawiając półgłosem o Marku. Ale co chwila serca nam się ścisnęły z żalu, i jakieś słowo niedomówione więzło w gardle. Staś się dopiero w domu o śmierci Marka dowiedział. W pierwszej chwili, kiedy mu powiedziała Adelka, że Mareczek nie żyje — stanął, jak wryty, i dopiero po jakimś czasie cichym głosem zapytał:

— Gdzie? Kiedy?

— W wigilję Tomka imienin, dziewiętnastego grudnia. Zbłąkana jakaś kula trafiła go wprost w serce. Bo nawet wtedy żadnej bitwy nie było... — wyrecytowała Adelka jednym tchem.

— Czy to już pewna wiadomość? — ozwał się Staś po chwili — Bo czasami...

Ale wtedy mieliśmy już niedokończony list, i czapkę, i pasmo włosów, które ten zacny Józio, niechaj mu Bóg da zdrowie! uciał Markowi, zanim go do ziemi złożyli...

3 kwietnia

Nie mogę długo pisać o tem. Nie mogę jeszcze wspominać inaczej, jak w myślach... Zaraz mi się oczy mgłą i już liter nie widzę...

Przez cały czas pobytu Staś był dla mnie taki, jak nigdy przedtem. Nawet nie spodziewałam się, że on potrafi mówić tak łagodnie, tak pieszczotliwie, jak wtedy do mnie mówił. Zwykle wieczorem Teofil i Adelcia wcześniej szli spać, a my siedzieliśmy we dwoje w jadalni, albo w dawnym pokoju chłopców, gdzie teraz stoi tylko Marka łóżeczko i wszystko, wszystko, co było jego własnością.

Nie zawsze rozmawialiśmy o nim. Staś dużo opowiadał o swoim życiu na froncie, o kolegach, o wojnie, o polityce. Nie mogłam się w duchu nadziwić, skąd on wie tyle rzeczy, o których w gazetach mało piszą, a czasem ani słowa. Mówił mi wtedy, że odbierzemy wszystkie nasze ziemie i stare polskie miasta. Że tak się musi stać, bo to jest sprawiedliwość losu i konieczność dziejowa. Że Polska będzie znowu wielka i silna, ale na to potrzeba jeszcze dużo czasu i dużo, dużo krwi...

I wtedy mówił także, jak Adelcia — że Marek był prawdziwym bohaterem i że jest naszą chlubą. Tylko Staś to mówił jakoś inaczej i tak tłumaczył:

— Bo, widzi ciocia, dla mnie Marek, to mój brat, mój kochany, mały braciszek — i dlatego serce mnie boli, że zginął. Ale ten mały Mareczek, ten bezimienny żołnierz zginął w obronie naszej ziemi. To nie było jego rodzinne miasto, to było miasto naszej ojczyzny. I ten mały chłopiec pokazał setkom tysięcy starszych, dorosłych ludzi, że ojczyzna, to nie tylko dach nad głową i chleb — że ojczyzna to także poświęcenie i śmierć. On złożył na ołtarzu ofiarnym nie pieniądze — nie siły i mózg — ale coś stokroć droższego: własne życie! Jeśli Lwów pozostanie nasz — to Marka dzieło. Jego i takich, jak on, którzy zginęli. Ta śmierć tysięcy dzieci nie może być daremną ofiarą. I dlatego serce rośnie mi z dumy: Marek, nasz Marek okupił swoim życiem życie tych, którzy przyjdą po nim wprowadzać w Polsce spokój i ład!

Tak mi to Staś wykladał i oczy mu błyszczały. Patrząc na niego, myślałam sobie wtedy: Jaki to piękny chłopiec i jaką piękną ma duszę! Cieszyłaby się Antolka, że tak wyrósł jej syn!

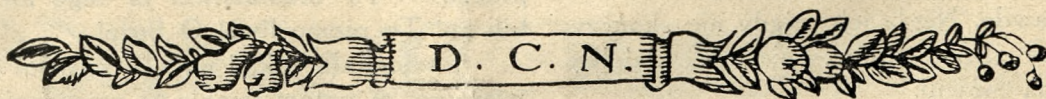
Nie mogłam wytrzymać. Porwałam w obie ręce tę jasną, śliczną głowę, przytuliłam do siebie mocno, z całych sił, a lzy mi z oczu kapały, jak groch!

I proszę: nie wyrwał się, nie sarkał, jak to on zawsze: „dałaby ciocia spokój!” albo: „czyste utrapienie z temi babami! Każda ma oczy na mokrem miejscu!” Aż się zdumiałam: delikatnie, ostrożnie wysunął się z mych ramion, wziął mnie za ręce i, głaszcząc je, powiedział:

— Niech ciocia już nie płacze... Będzie zato Polska... Będzie Polska wielka, wspaniała, kwitnąca... I to my ją stworzymy, ciociu! My...

5 kwietnia

I znowu się spłakałam, pisząc, i powiedziałam sobie: dość! Naprawdę miałby Staś rację, gdyby mię zburczał, jak to on czasem potrafi. A zresztą — Boże mój! — tego, co przeszło, łzami nie przywrócę, Marka nie wskreszę — a tylko sobie i innym życie powolutku zatruwam.



## ZAPOZNANE SKARBY

W pierwszych dniach listopada odbył się w Warszawie zjazd konserwatorów. W związku z tem urządzona została w gmachu byłej Podchorążówki wystawa konserwatorska.

Wystawa trwała, niestety, zbyt krótko. Niepowetowana szkoda. Oto znów jeden z tych momentów—ostatnio, na szczęście, coraz częstszych,—w których z uczuciom usprawiedliwionej dumy możemy stwierdzić, że istnieją całe obszary, o których szersza publiczność nic nie wie, a na których rzetelna, na europejską miarę zakrojona praca aż kipi. Dwa są, bowiem kamienie węgielne, dwa granitowe słupy, na których wznosi się gmach potężnych osiągnięć narodu: jeden zakładają indywiduala, jednostki, o głowę przerastające swe pokolenie, orli dalekowidze, jednemu uderzeniem twórczej myśli dosięgający najgłębszego sensu i istoty zjawisk, w jednym momencie jasnowidzenia budujący syntezę—drugi—mozolną pracą wmurują na wieki wieczne nieznanymi pracownicy, których imię jest legion, zapobiegliwi robotnicy mrówczą pracą, upartym codziennym trudem. Niema trybunału, któryby zdolny był orzec, czyja zasługa jest większa.

Nie wiem, czy dużo ludzi u nas wie, że przy politechnice warszawskiej istnieje Instytut architektury, prowadzony przez prof. Sosnowskiego. Instytut ten podjął ni mniej ni więcej, tylko pracę tego rodzaju: inwentaryzacja i systematyczne opracowanie architektury i budownictwa w Polsce. Zdawałoby się, że nic wielkiego. Istnieje przecież utarte wśród ogółu przekonanie, że w Polsce mamy tego tak niewiele, że wszystko, co jest istotnie wartościowego, wykazuje jakieś wpływy obce...

Okazuje się, że mamy skarby. Okazuje się, że mamy w naszym budownictwie objekty i całe gatunki przedziwne w stylu, o jakich nie śniło się Europie. Przedewszystkiem całe nasze budownictwo drewniane. Od niego to właśnie zaczął Instytut swą pracę, i inwentaryzacja zabytków drewnianych jest najbardziej narazie aktualna, a to ze względu na największe narażenie ich na mogące nastąpić w każdej chwili zniszczenie. Ale nie wiem, czy każdy, kto sam wystawy nie oglądał, zdaje sobie dostatecznie jasno sprawę z tego, jak się taka inwentaryzacja przedstawia. Że polega ona poprostu na tem, że członkowie Instytutu—studenci chodzą sobie systematycznie od wsi do wsi, od województwa do województwa, i „inwentaryzują“ chatę za chatą, kościół drewniany za kościołem. Inwentaryzują—to znaczy, że najdokładniej kopują, najmisterniej odrysowują nietylko ich postać zewnętrzną, nietylko całe wewnętrzne urządzenie, ale cały schemat budowy; odtwarzają wszelkie stadja powstawania budynku, cały aparat wiązań,

przyciesi, spoidel i t. d., i t. d., i to wszystko z dokładnością milimetrową, z mrówczą zaiste sumiennością i drobiazgowością. W ten sposób zostało już, np., zupełnie wykończony opracowanie szalaństwa polskich Tatr—opracowanie, w którym nie pominięto ani jednego obiektu spośród znajdujących się na północnych stokach Tatr—przyczem wszystko to przeprowadzone jest systematycznie, t. j. uwidocznione są fazy rozwojowe, od najprostszej, zupełnie prymitywnej koliby, aż do szalaśsu-domu, z oknami, drzwiami i t. d. Oto jeden tylko przykład. A niezmiernie ciekawa sprawa bóżnic żydowskich, budowanych niemal wyłącznie przez polskich cieślów; w tych niezwykłych budowlach egzotyczne wpływy wschodnie—boddaj hinduskie i chińskie, krzyżują się z naszymi rdzennymi pierwiastkami architektonicznymi i kładą na wszystkich tych bóżnicach przedziwne piętno.

Niepodobienstwem jest wyliczyć wszystkiego—nie pozwalają na to szczupłe ramy kroniki. Ale niepodobna nie wspomnieć o tem niesłychanym zjawisku, jakim jest polichromja drewnianego kościoła w Dębnie. Sądząc z kopji—jak się zdaje, istotnie kongenialnej (praca nad samą tą kopją musiała trwać ładnych parę lat), mamy do czynienia z jakimś unikatem. Jest to polichromja gotycka—dałoby się odnaleźć może trochę motywów późno romańskich, ale ogólny charakter gotycki przeważa. Niepodobna tego opisywać—trzeba to samemu zobaczyć. Najlepiej natychmiast jechać poprostu do owego Dębna i stwierdzić naocznie, że taki cud istnieje, a w Europie o nim pojęcia nie mają. Ale gdy się zważy, że kościół ten jest drewniany, że nie można mieć pewności, czy lada dzień nie ulegnie zniszczeniu—tem większą wagą trzeba otoczyć zadanie, którego dokonali ci skromni, nieznanymi pracownicy.

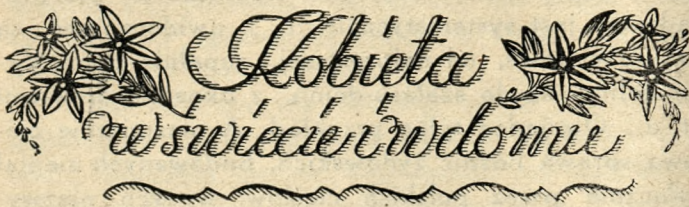
Oto jest istotny warsztat pracy narodowej. Oto pierwszy krok na drodze, o której marzył Żeromski.

Bardzo już mało miejsca zostało na omówienie dolnej sali, w której figurują fotografie zabytków. A szkoda. I tu przecież jest o czem mówić. Jeżeli z architektury renesansowej pozostało nam stosunkowo niewiele (wojny szwedzkie), to nasz barok i nasz klasycyzm istotnie nie stawiają nas zbyt daleko za Europą. I znów daje się wykazać pewne swoiste piętno, jedyne w swoim rodzaju, sprawiające, że te prześlizgnięte zamki i wieże kościołów są niepowtarzalne, że są—polskie. A jakżeż mało wie się o nich! Jeżeli o takich Podhorcach, czy o Sulejowie jeszcze coś niecoś się słyszało, to kto wie coś o Olesku, np., czy o jakimś Lisko?

Kto się interesował kościołem Bernardynów w Leżajsku np.? Nie ma się o tem zielonego pojęcia

Bardzo ładne są zdjęcia, robione z lotu ptaka — alias z lotu aeroplanu. Pozwalają na niezmiernie plastyczne, „jak na dłoni“ ujęcie całości.

Zdaje się, że naogół wystawa spełniła swój cel: doprowadziła do tego, że wielu ludziom na nowo ukazała ich kraj, przynagliła ich do nowego na Polskę — na coś tak bardzo znanego — spojrzenia. Szkoda, że krótko trwała i za mało ludzi ją zwiedziło! *l. j.*



### VII ZJAZD PRZECIWAŁKOHOLICZNY W WARSZAWIE

W dn. 13 listopada odbył się w gmachu Państwowej Szkoły Higieny w Warszawie, pod protektoratem p. Prezydenta Rzeczypospolitej, VII polski Kongres przeciwalkoholiczny.

Obrady poświęcone były sprawie wynalezienia i zorganizowania najlepszych sposobów walki z tą plagą społeczną. W zjeździe wzięli udział przedstawiciele władz, posłowie, przedstawiciele instytucji samorządowych, społecznych, oświatowych, oraz liczne osoby prywatne, którym leży na sercu normalny rozwój społeczny.

Organizatorzy zjazdu i polskiej walki z alkoholizmem poszli po niezmiernie racjonalnej linii wytycznej, abstrahując od sprawy prohibicji, która w lepiej daleko przygotowanym społeczeństwie amerykańskim wywołuje tyle zamętu, zużywając mnóstwo sił i pieniędzy, a w Polsce byłaby nie do przeprowadzenia: Zjazd stanął na stanowisku zwalczania alkoholizmu drogą intensywnej pracy uświadamiającej, niejako, rzecz można, profilaktycznej.

Zaznaczyło się to przede wszystkim w referatach, które wygłosili lekarze, duchowni, prawnicy i nauczyciele. I tak dr. Gantkowski wygłosił referat: „Jak uczyć społeczeństwo zrozumienia dla niebezpieczeństwa alkoholizmu“; dr. Radziwiłłowicz mówił o roli i zadaniu lekarza w walce z alkoholizmem; dr. Wieliczko o zwyrodnieniach dziedzicznych; dr. Wroczyński o stosunku alkoholizmu do gruźlicy; dr. Kunicki o roli i zadaniach Kas Chorych w walce z alkoholizmem, ks. proboszcz Niesiołowski o zadaniach duchowieństwa w tej akcji; prof. Wachholz o stosunku alkoholizmu do przestępstw; p. Moczyłowska o roli Sejmu, rządu i społeczeństwa; sędzia Glass o udziale kolejarzy w walce z alkoholizmem; dr. Strumiłło o akcji organizacji młodzieży w tym zakresie i t. p.

Rezolucje zjazdu, uchwalone po dwudniowych obradach, zostały przekazane do ostatecznego opracowania specjalnej Komisji, która działając będzie w porozumieniu z czynnikami rządowymi. Głównymi wytycznymi organizacji dalszej walki z alkoholizmem są postulaty następujące: utworzenie w każdej diecezji specjalnego stanowiska dla duchownego, który, zwolniony od innych obowiązków, poświęcałby się wyłącznie działalności przeciw alkoholizmowi, tak, jak to się praktykuje w diecezji poznańskiej; zorganizowanie wykładów o alkoholizmie w szkołach początkowych i średnich, oraz katedr alkoholologii w szkołach wyższych; utworzenie specjalnej Komisji badania przyczyn nieszczęśliwych wypadków na kolejach, do której wchodziłoby członkowie związku kolejarzy-abstynentów.

Ten wniosek — projekt delegacji kolejarzy — jest niezmiernie doniosły, gdyż nietrzeźwość funkcjonariuszy kolejowych powoduje katastrofy, w których nieraz padają liczne ofiary.

Następnie zjazd postanowił przedsięwziąć energiczne starania u władz o wpłacanie przez też władze na rzecz walki z alkoholizmem 1 procentu od dochodów państwowego monopolu spirytusowego, którym to staraniem obiecał swe poparcie p. Prezydent Rzeczypospolitej — jako protektor Kongresu.

W czasie zjazdu otwarta była Wystawa przeciwalkoholowa, oraz demonstrowano liczne filmy, obrazujące szkody, wyrządzane przez alkoholizm i sposoby zwalczania pijaństwa. Na dwa tygod-

nie przed zjazdem odbył się kurs: „Alkoholizm i jego zwalczanie“, obejmujący szereg wykładów z zakresu chemii, medycyny, psychologii, prawa i sądownictwa, ekonomii społecznej i politycznej w zakresie istoty alkoholizmu, jego wpływów i jego zwalczania. Prelegentami byli najwybitniejsi specjaliści danych dziedzin.

Zarówno w wykładach, jak i w obradach zjazdu brały bardzo wydatny udział siły kobiece. W liczbie organizatorów były posłanki: dr. G. Balicka, Holder-Eggerowa, M. Moczyłowska, W. Ładzina, senat. A. Zdanowska, radna dr. Budzińska-Tylicka, prof. dr. Z. Daszyńska-Golińska, prof. dr. Józefa Joteyko, prof. Roma Dedziowa, Lucyna Kotarbińska, E. Borowska, Marja Cz. Przewóska, P. Restorffowa, Wł. Weychert-Szymanowska, dr. H. Trenknerowa, M. Uklejska, oraz organizacje kobiece i sekcja Kół Gospodyń wiejskich przy C. T. R., Narodowa Organizacja Kobiet, T-wo Klub Kobiet Pracujących i inne. *N. J.*

### NIERÓWNOŚĆ PŁAC WYWOŁUJE ZMNIEJSZENIE LUDNOŚCI

Podczas gdy niema prawie kraju cywilizowanego, w którym kobiety nie miałyby równouprawnienia politycznego, zagwarantowanego ustawami konstytucji krajowej, z drugiej strony niema kraju, w którym istniałoby istotne równouprawnienie ekonomiczne. W ubiegłym miesiącu Wiedeńska Izba Pracy wydała statystykę, jasno wykazującą, jak nierównomierne są płace kobiet i mężczyzn.

I tak — cztery piąte wszystkich urzędniczek wiedeńskich otrzymuje pensje mniejsze, niż 200 szylingów miesięcznie, (szyling — około 1 zł. 10 gr.), podczas gdy tylko jedna piąta urzędników-mężczyzn ma tak małe wynagrodzenie! Sprzedawczyni sklepowa ma przeciętnie 190 szylingów — subjekt — 240. Kucharze, np. mają ściśle dwa razy wyższą pensję, niż kucharki; pracza w pralni bierze 44 grosze za godzinę — pracz — 90.

Pozatem znikoma ilość kobiet zajmuje wyższe, samodzielne stanowiska. Samodzielnych np. buchalterek jest w przemyśle 2 procent zaledwie! na 33 procent stenotypistek, 20 procent niższych urzędniczek bankowych i 45 procent sił buchalteryjnych pomocniczych.

Niższe pensje kobiet tłumaczą pracodawcy faktem, że mężczyzna musi utrzymywać rodzinę — zupełnie mylnie, gdyż w każdym prawie małżeństwie ze sfer pracujących żona musi obecnie ponosić narówni z mężem koszty utrzymania domu. To też kobiety austriackie prowadzą energiczną akcję o zrównanie płac, dowodząc bardzo słusznie, że niskie płace kobiet zarobkujących wpływają na zmniejszenie się liczby małżeństw i zmniejszenie przyrostu ludności, co nie leży chyba w interesie państwa. *N. J.*

### 14-STO LETNIA BOHATERKA

Funkcje zawiadowcy małej stacji Pruney, na linii kolejowej Chalons sur Marne i Reims, we Francji, pełnił niejaki Julian Chossenette, skromny urzędnik, obciążony liczną rodziną.

Zawiadowca był jedynym funkcjonariuszem i zmuszony był wykonywać na stacji te wszystkie czynności, jakie zwykle spełnia kilku ludzi.

Takim kolejarzom, których praca bywa niezwykle uciążliwa, (przez Prunay, np. przebiega na dobę 65 pociągów), pomagają zazwyczaj żony, lecz w tym wypadku pan Chossenette nie mógł liczyć na pomoc swej towarzyski życia, gdyż na opiekę jej czekało w domu 6-ro drobnych dzieci.

Najstarsza więc córeczka zawiadowcy, 14-to letnia Renée, zastępowała matkę i, wykazując wyjątkowe zainteresowanie się czynnościami ojca, w przedkim czasie stała się jego prawą ręką.

Na początku października r. b. pan Chossenette, wyszedł któregoś późnego wieczora na tor kolejowy z latarką, na spotkanie pociągu towarowego.

Renée stała w otwartym oknie.

Naraz dostrzegła, że latarka ojcowska zgasła.

Dziewczynka, nie namyślając się długo, pobiegła na tor i znalazła ukochanego ojca, leżącego już bez przytomności.

Jak się okazało później, został on uderzony przez pociąg, który nadszedł z Chalons, doznał złamania kręgosłupa i w parę chwil po katastrofie zmarł na rękach swej najstarszej pociechy. Renée nie straciła zimnej krwi.

Pomimo rozpaczy, stanęła po bohatersku w kabinie semaforów i kierowała niemi do rana, nastawiając sygnały i zwrotnice, zapewniając w ten sposób normalny ruch pociągów, dopóki władze nie przysłały na miejsce zmarłego, nowego funkcjonariusza.

Na wniosek ministra Robót Publicznych, ofiarował minister Spraw Wewnętrznych brązowy medal zaślugi i pewną kwotę pieniężną młodocianej bohaterce, która niezwykłym wysiłkiem woli zapobiegła nieuchronnej katastrofie kolejowej. *H. S.*

KSIEŻNA GRECKA JAKO UCZONA - PSYCHOLOG

Księżna Marija, żona ks. Jerzego Greckiego, a stryjeczna wnuczka Napoleona I-go, jest wybitną uczoną w zakresie psychologii, specjalnie zaś zajmuje się psychoanalizą. Uczenica słynnego Freuda, księżna Marija redaguje, jako redaktorka naczelna, wychodzące w Paryżu czasopismo „Archives de Psychoanalyse”, w którym nadto stale pisuje artykuły naukowe, cenione przez cały świat uczonych psychologów.

Obecnie księżna Marija znajduje się w Budapeszcie, gdzie w imieniu uniwersytetu powitał ją jeden z najpoważniejszych psychologów węgierskich, prof. Ferenczi. N. J.

WCIAŻ WALKA O CZARCZAF

Z Jeruzolimy donoszą, że pomimo opozycji władz w Damaszku mahometanki nie ustają w pracy i agitacji za zniesieniem czarczafu.

500 mahometanek postanowiło wysłać delegację do Najwyższego Komisarza Francuskiego w Birucie, prosząc o wywarcie wpływu na gubernatora Damaszku, aby pozwolił kobietom miejscowym ukazywać się na ulicy bez zasłony na twarzy. H. S.

LUKSUSOWE WIĘZIENIE DLA KOBIET W AMERYCE

Nowojorska rada miejska uchwaliła wybudować wspaniałą, 14-piętrowy gmach, mający służyć za więzienie wyłącznie tylko dla kobiet.

Na taki luksus może sobie pozwolić w tych ciężkich, wojennych czasach jedynie chyba tylko Ameryka.

„Lokatorki” tego hotelu korzystać będą z komfortu, którego śmiało pozazdrościć im może przeciętny, ciężko pracujący inteligent warszawski.

Cele więzienne znajdować się będą na wyższych piętrach, aż do 10-go włącznie, by zapewnić „przymusowym lokatorkom” najlepsze warunki higieniczne pod względem dostępu słońca i powietrza.

Na samej górze mają być rozmieszczone sale rekreacyjne, czytelnia, biblioteki, kaplica więzienna i t. d.

Niższe piętra zajęte mają być przez kuchnie, pralnie, łazienki, kamery dezynfekcyjne i t. d.

Skończy się na tem, że aresztantki tak zasmakują w życiu więziennem, że, wypuszczone na wolność, będą się starały zasłużyć na nie powtórnie. H. S.

EKSCENTRYCZNE MAŁŻEŃSTWO SIOSTRY WILHELMA II

„Przeszło 60-letnia siostra ex-kaisera, Wilhelma II, księżniczka Wiktorja Schaumburg-Lippe, zamieszkała stale w Bonn, w pałacu Schaumburg, który jest jej własnością, ma poślubić 23 letniego rosjanina Zubowa...” tak donoszą gazety niemieckie, Aczkolwiek najbliższa rodzina księżny, a więc exkaiser w Doorn i siostrzeniec, książę Adolf Schaumburg-Lippe nie wiedzą, kim jest właściwie ten — wybrany — rosjanin, nie sprzeciwiają się jednak wybrkowi siostry i ciotki.

Ex-cesarz udzielił już pozwolenia na to małżeństwo. Księżna Wiktorja należy do kobiet wyjątkowo romantycznych. Będąc młodszą dziewczyną, zaręczyła się z księciem Aleksandrem Battenberskim, późniejszym księciem Bułgarii. W grę wchodziła prawdziwa miłość, lecz względy polityki dworskiej uniemożliwiły ten związek.

Bismark dołożył wszelkich starań, by nie dopuścić do małżeństwa z księciem Aleksandrem, który później został wypędzony z Bułgarii.

Przebolawszy swój pierwszy zawód miłosny, księżniczka Wiktorja wychodzi za regenta Lippe-Detmold, księcia Adolfa Schaumburg-Lippe, który umiera w roku 1916.

Wdowa ma zamiar pocieszyć się, wychodząc obecnie za młodszego od siebie o lat 38 rosjanina.

Jest to, podobno, trzecia i najgorętsza miłość księżny. H. S.

DŁUGOWŁOSA ZBANKRUTOWAŁA

Berliński „Börsenkurier” donosi, że przed kilku dniami w Berlinie odbyła się licytacja majątku firmy „Anna Csillag”. Jak wiadomo, sprytna Niemka, ze swojemi 195 cm. długimi włosami propagowała rozmaite kosmetyki własnego pomysłu na porost włosów.

Dziś, w okresie fryzur „à la garçonne”, wszystkie wysiłki Anny Csillag spełzyły na niczem, i zamożna ongi firma berlińska zbankrutowała doszczętnie. H. S.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Jacques Dalcroze w Warszawie—José Iturbi w Filharmonji.—Koncert Stowarzyszenia miłośników dawnej muzyki.

Dwadzieścia lat temu weszła w modę gimnastyka rytmiczna, czyli plastyczne wyrażenie rytmu, mające na celu umuzykalnienie uczniów drogą najbardziej przystępną. Twórcą jej był Jacques Dalcroze, kompozytor wdzięcznych utworów fortepianowych, pieśni i dwóch koncertów skrzypcowych, który w Hellerau pod Dreznem urządził niejako akademję wynalezioną przez siebie metody, i stamtąd uczenie jego niosły w świat pierwsze kroki, poczynione w dziedzinie właściwego nauczania muzyki, niezależnie od technicznego opanowania instrumentu. Początek metody Dalcroze'a opierał się głównie na rozwoju poczucia rytmiki, jako prymitywu zrozumienia koncepcji muzycznej, w formie ciekawej, ale niedość wystarczającej do właściwego umuzykalnienia. Od tego czasu minęło wiele lat, które twórcy gimnastyki rytmicznej posłużyły do znacznego rozszerzenia zasad wykształcenia muzycznego, a przedewszystkiem objęły wyszkolenie ucha, jako najistotniejszej wartości w nauce muzyki.

Wiadomą jest rzeczą, że najbardziej zmechanizowanym instrumentem, posiadającym dzięki temu najwięcej adeptów, — jest fortepian; każdy inny instrument wymaga dobrego ucha do strojenia przed graniem, w przeciwnym razie wydaje kakaofoniczne dźwięki, gdy tymczasem fortepian przedstawia mechanizm, nadający się nawet dla ludzi, nieumiejących czytać nut i nieznających najprostszycych zasad muzycznych. Tak zwany „Naturspieler”, który, nie ucząc się, gra na fortepianie, jest zjawiskiem, spotykanem dość często, albowiem sama konstrukcja instrumentu nastęrcza duże ułatwienie, dzięki któremu można grać na fortepianie bardzo wyraźnie, nie słysząc tego, co się wykonywa. Leschetzky mówił nawet, że najlepiej grają uczniowie, pozbawieni słuchu, albowiem mogą bez zniecierpliwienia poświęcać dużo czasu studjum jednego utworu, gdy pianista, obdarzony dobrym słuchem, nie może się czas dłuższy wsłuchiwać w te same tony bez znudzenia. Dlatego uczniowie o słuchu absolutnym rzadko kiedy doprowadzają rękę do doskonałości technicznej, ponieważ wrażliwość ucha jest tylko przeszkodą w trawieniu długich godzin na studjach nad biegłością palców.

Zdarza się też niejednokrotnie, że pianista, z dyplomem konserwatorium, umiejący wypełnić nawet program koncertowy, nie potrafi powtórzyć na pamięć uderzonego akordu i często nie rozróżni interwałów, nie mówiąc już o tonacji.

Nad uzupełnieniem tych braków, spotykanych tak często u uczniów, nawet bardzo uzdolnionych, których słuch odrzucano w nauce, jako zbędny balast, pracuje właśnie metoda Jacques Dalcroze'a, który w Filharmonji urządził pokaz rezultatów swojej pracy, podejmowanej z nieustającą gorliwością na przestrzeni lat, dzielących go od pierwszych prób w tworzeniu szkoły umuzykalnienia. Pod kierownictwem samego mistrza pięć wykwalifikowanych „dalcrozianek” popisywało się wiadomościami, nabytymi w szkole doskonałego pedagoga, który zastrzegł się odrazu, że plastyczny popis jego uczenic nie ma nic wspólnego z techniką taneczną i baletową, że w plastyce chodzi o rytm, a w śpiewie i innych produkcjach—o słuch i wyrobienie poczucia muzycznego. Przy akompaniamencie różnych rytmów wykonywały „dalcrozianki” ruchy plastyczne, związane z rytmiką, z krótkimi i długimi nutami w taktie, zręcznie określały biegniki techniczne i ozdobniki, grane na fortepianie, uzgadniały przytem równocześnie różne kombinacje rytmiczne. Jest to, rzecz jasna, owoc gorliwej, wieloletniej pracy, której rezultaty są istotnie nadzwyczajne i zdobywają wielki szacunek dla tak logicznie przemyślanej metody Dalcroze'a. Jego wychowanki muzyczne znają na pamięć tonacje, poddają je nieomylnie, śpiewają czysto, improwizują na żądany temat i w żądanym rytmie na fortepianie, improwizują tańce plastyczne, dyrygują, improwizują kontrapunkt do danego tematu, słowem—ogar-

nią całość kształtu wykształcenia muzycznego, niezależnie od technicznego opanowania instrumentu.

Tych pięć uczenic, których wiadomościami popisywał się Dalcroze, to niewątpliwie najzdolniejsze z pośród tych wszystkich, które ukończyły szkołę Dalcroze'a w Genewie, Paryżu, czy Londynie i, niewiadomo, czy słuch absolutny (a dwie z nich posiadają go napewno) nie jest im znacznym ułatwieniem w tych wszystkich dalcrozowskich wykładnikach muzycznych. W każdym razie przepełniona sala Filharmonji i najżywsze zainteresowanie publiczności było właściwym efektem pokazu, pożądanym przez Dalcroze'a i świadczącym o żywotności i racjonalności jego metody, mającej duże pole rozwoju. Metoda Dalcroze'a, rozpowszechniona ściśle według wskazówek jej twórcy, da w przyszłości napewno wyniki zadziwiające i pokaże w praktyce, do jakiego stopnia można rozwinąć muzykalność ogółu grającej młodzieży.

\*

Ogromne powodzenie zyskały w Filharmonji dwa występy hiszpańskiego pianisty José Iturbi'ego. Nie jest to wielka, pełna rozmachu, twórcza gra Rubinsteina, ale wirtuozeria fortepianowa, opanowana do najdrobniejszych szczegółów, gra błyskotliwa i perlista, świadcząca o wtajemniczeniu artysty we wszystkie arkana doskonałości technicznej, niewzruszona rytmicznie, o niezwyklej wrażliwości dla odcieni dynamicznych, przykuwająca słuchacza nietyle tonem interpretacji utworów, co klasycznym ich opracowaniem, i to zarówno dawnych, jak współczesnych, niemieckich, francuskich i hiszpańskich, za które José Iturbi zbierał zasłużone oklaski.

\*

Znaczenie dydaktyczne mają koncerty Stowarzyszenia miłośników dawnej muzyki, albowiem obok znanych nazwisk starych autorów, wydobywają z kurzu zapomnienia utwory nieznanych polskich kompozytorów, dając w programie wyczerpujące objaśnienia bio- i bibliograficzne, dotyczące nazwiska. Poniedziałkowe koncerty, przeznaczone na wieczory dawnej muzyki, są bardzo zajmujące przez wzgląd na dobór programu i jego staranne wykonanie.

P. L.

dząc, o każdej porze i na każdym miejscu, i ubolewa, że socjaliści nie zaprowadzili sześciogodzinnej nocy pracy i jednego dnia wypoczynku na tydzień.

A hrabina? Hrabinie służy doskonale taniec, hołdy wielbicieli, a przede wszystkim—lekcje jazdy samochodowej, których jej udziela młody i uroczy baron de Varini.

Na tem tle powstaje zatarg między dwojgiem małżonków, do którego wplątani zostają rodzice hrabiny, no, i naturalnie, czarująca modystka, do niedawna jedna z girl'sów Casino de Paris, którą z wdziękiem i umiarem odtwarza p. Gellówna.

Po nieco przydługiej i ciężkawej ekspozycji w pierwszym akcie, następuje szalona fuga powikłań farsowych — w drugim. Absurdy komicznych sytuacji tłoczą się na siebie wzajemnie w galopie, który nie pozwala widzowi ochłonąć i opamiętać się wśród wybuchów żywiołowego śmiechu. Cel widowiska osiągnięty: ludzie płaczą, piszczą, wyją ze śmiechu, a aktorzy bawią się niemniej od publiczności.

Rozwód młodej pary wisi na włosku, ale ponieważ włoskiem tym jest kaprys kobiety, więc wszystko kończy się jaknajlepiej i jak najmoralniej: bez zdrady małżeńskiej, bez tragedji i... bez rozwodu. Chociaż tego ostatniego widz trochę żałuje: jakżeby pasowały do siebie żywiołowe natury hrabiny i młodego barona! jak dobrze czułby się zmęczony hrabia w towarzystwie miłej mieszczańskiej, przenoszącej ponad wszystko domowe zacisze!

Kobiece role były trafnie obsadzone i zagrane bez zarzutu. P. Gorceżyńska w roli hrabiny czarowała temperamentem, urodą i strojami (długie, b. długie suknie), o p. Gellównie jużśmy mówili, p. Łaska w roli markizy była dobrym typem zrezygnowanej i wiecznie przebaczącej (za cenę kosztownej biżuterji) małżonki. Rola p. Balcerkiewiczówny była zbyt nikłą, aby młoda artystka mogła się w niej wyrazić wypowiedzieć. Rozkoszny zawsze Fertner zanadto przypominał „Kłopoty pana Hamelbeina“, rozpęd Orwida nieco hamował mundur jeneralski, pozostałe role męskie były poprawne. Całość wyreżyserowana bez zarzutu.

S. P. O.

## KOMUNIKATY

MIESIĄC PROPAGANDY ZA „REFORMĄ SZKOŁY ŚREDNIEJ“

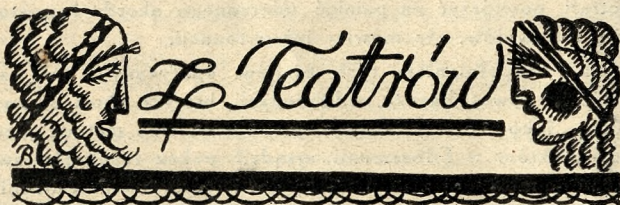
Zarząd Główny Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich (Warszawa, Chmielna 49, I p., tel. 127-02) organizuje w całym kraju cykl wieczorów dyskusyjnych pod hasłem: „O Reformę Szkoły Średniej“.

Odczyty tę dadzą program Demokracji Nauczycielskiej w sprawie szkoły jednolitej, szkoły świeckiej, zasad wychowania nowego człowieka, obrony praw i godności zawodu nauczycielskiego, oświaty powszechnej, dostępnej dla wszystkich bez różnicy narodowości i pochodzenia.

W Warszawie o godz. 8 wiecz. w lokalu II gimnazjum Związku (Mazowiecka 11), odbędą się odczyty:

Dnia 28 listopada, poniedziałek — sen. St. Posner „Demokracja i oświata“. Dnia 2 grudnia, piątek — sen. Stefan Kopciński „Szkoła jednolita, jako postulat społeczny i pedagogiczny“. Dnia 6 grudnia, wtorek — prof. E. Forelle „Stan szkół państwowych“. Dnia 9 grudnia, piątek — prof. dr. M. Grzegorzewska „Kongres nowego wychowania w Locarno“. Dnia 14 grudnia, środa — dyr. M. Odrzywolski „Cele wychowawcze szkoły średniej“. Dnia 17 grudnia, sobota — prof. C. Trzcńska „Potrzeby szkoły zawodowej“. Dnia 2 stycznia, poniedziałek — dyr. T. Wojeński „Kryzys szkoły prywatnej“. Dnia 6 stycznia, piątek — prof. dr. J. Joteyko „O selekcji w szkole“.

Cena wejścia za odczyt 50 groszy, za cykl 3 złote.



TEATR LETNI:

„Nie wywiódł jej w pole“ — krotchwila w 3 aktach  
M. Hennequina i P. Webera; przekład J. A. Hertza; reżyserja E. Chaberskiego; dekoracje A. Aleksandrowicza.

Podobno sprytni cukiernicy pozwalają świeżo przyjętym pracownikom najadać się dosyta słodyczami, pewni, że po paru dniach tak im obrzydzą, że odwracać się od nich będą ze wstrętem. Taką właśnie drogą postanowił nieco już podtusiały hrabia de Permaillac zohydzić swej młodej żonce dancingi i nocne kabarety. Ta jednak taktyka, niezawodna, kiedy chodzi o rozkosze podniebienia, okazała się bronią obosieczną wobec młodej, pełnej życia i temperamentu kobiety. Hrabia, bezgranicznie wycieńczony nocnymi hulankami, zasypia, siedząc, stojąc, cho-





NOWOCZESNA  
BIŻUTERJA

Biżuterja nasza zasadniczo różni się od wczorajszej. Przestała być naleciałością, momentem przypadkowej, choć cennej ozdoby: jest integralną częścią całości, nutą ważną — kto wie, czy nie dominującą — w kompozycji barwnej postaci i stroju.

Kobieta szuka wyrazu w kamieniach. Turkus lub akwamaryna podnoszą blask oczu błękitnych, powtarzając ich barwę. Rubín współzawodniczy z karminowemi wargami. Szmaragd decyduje o kolorze źrenic zielonkawych, ametyst podkreśla cerę. A nad wszystkiemi góruje, jak zawsze, brylant pięknej wody, który — trzeba to przyznać — nierzadko daje się zastąpić imitacjom (*strass*) i kryształom.

Tak powstaje moda wśród klejnotów. Moda, opierająca się nie na kalkulacji cen, lecz na walorach linii i barwy. Moda, która odkryła, że czerwień granatu ma głębsze tony od rubinu — że ametystowa barwa niedarmo była przywilejem cesarów rzymskich — że topaz i beryl mogą prym dzierżyć wśród najcenniejszych kamieni. Korale, jaspisy, krwawniki, onyksy, kryształy, lapis lazuli — metal błyszczący i matowy — a nawet szlachetne gatunki drzewa — są tworzywem dla umiętej dłoni złotnika.

W tak bogatym materiale trudno zakreślić granice możliwościom. Modne kombinacje wątku i form

biżuterji są więc niesłychanie różnorodne. Widzimy naszyjniki i bransolety, składające się z kamieni rżniętych i małych pastylek z kryształu, łączonych metalowym łańcuszkiem (rys. 5); bransolety metalowe o płaskich ogniwach, albo płytkach żłobionych, piękne przy całej swej prostocie — podobnie, jak ogniwa z tonowanego drzewa, ujęte w okucia metalowe (rys. 6). Niektóre motywy ogniów, lub całe obręcze, kute z wielkiem odczuciem materiału i jego stylu odrębnego, stawiają te imitacje w rzędzie małych dzieł sztuki. W innych jeszcze bransoletach ogniwa z matowego metalu, prostokątne lub owalne, łączą się z kaboszonami z onyksów, szmaragdów, czy krwawników (rys. 3 i 4), a szerokie obręcze *bracelets esclave* są sadzone kamieniami i wykładane emalją (rys. 10)

Jako znamienne formy bransolet, podajemy kilka modeli (rys. 3—6), wybranych z kolekcji paryskiego *oréum*, która odznacza się artystycznym rysunkiem i umiarem kompozycji. Niemniej ładne są naszyjniki z drobniutkich perełek złotych, albo srebrnych. Takie kolje, wraz z odpowiedniemi bransoletkami i kolczykami, tworzą śliczne ożywienie stroju (rys. 1), a giętkie sznury metalowe, tzw. *chaînes - serpents* rzucają wesołe błyski na każdą suknię, nawet najskromniejszą codzienną. Sznury te nosi się nietylko, jako na-

szyjniki, lecz także zamiast kilku bransolet, owinięte wokół obnażonego ramienia, na obcisłym rękawie czy też na rękawicze duńskiej.

Perleki i sznury są wyrabiane w rozmaitych, nieraz bardzo znacznych długościach (do 3 m.). Obfity naszyjnik efektownie otacza szyję i dekolt sukni wieczorowej; zaznaczamy jednak, że nie każdy typ urody nadaje się do tego rodzaju kolji. Szczególnie osoby o pełnych kształtach strzec się muszą niemiłego przeladowania, o które nietrudno przy bogactwie naszyjników metalowych.

Przeciwnie, wielu paniom będzie do twarzy z biżuterją brylantową, (prawdziwa, lub imitacja). Więc *pendentif* w kształcie gruszki, wysadzonej brylancikami, na cienkim łańcuszku platynowym (rys. 9), albo kolja w typie tzw. riwjer, obejmująca szyję tęczowymi blaskami. Często kolja ma u przodu wolno puszczony brelok z kilku brylantów równej wielkości, albo coraz większych ku dołowi — a są też formy pośrednie między riwjerą i *pendentif*: przód naszyjnika nanizany z brylantów, od boków do tyłu łańcuszek, spięty na karku. Kolja, bransoletki z brylantów i kolczyki, sadzone brylantami (rys. 8.), tworzą garnitur, odpowiedni do sukni czarnej lub haftowanej strassem.

Bardzo modne są niewielkie brylanty, jako oprawa innych kamieni o znacznych rozmiarach (*pendentif*, długie kolczyki, brosze, pierścionki). Przedstawiona na rys. 7 klamra z dwu wielkich rubinów, obramowanych brylantami, jest przykładem modnej kombinacji białego z czerwonym, jak np. koral w brylantach, rubin lub kryształ barwiony z brylantami. Biżuterja czerwona i biała najefektowniej wygląda w harmonji z barwą czerwonego kwiatu u ramienia sukni wieczorowej.

Dobieranie akcesoriów toalety do biżuterji obowiązuje zresztą, jako ogólna zasada. W dzień — klamra torebki, paska, spinka u kapelusza, guziki sukni; wieczorem — kwiat, mała torebka metalowa *trousse*, klamry pantofelek, spięcia i haft strojnej toalety stanowią wraz z biżuterją refren barwny, wiążący kobietę w harmonijną całość z jej strojem. Od pań palących moda wymaga także dobranych z biżuterją przyborów do palenia.

Paryskie magazyny lansują modele toalet, w których biżuterja jest wkomponowana organicznie. *Jeanne Lanvin* w rzędzie guzików, zdobiących suknię popołudniową, umieszcza pięknie szlifowany drogi kamień, jako guzik pierwszy od szyi, i także kamienie jako spinki u mankietów. Ulubionymi motywami *Patou* są *pendentifs*: topaz w brylantach, akwamaryna w brylantach stają się indywidualnym przybraniem sukni wieczorowej. U *Lucien Lelong* rolę tę biorą na siebie oryginalne klamry u pasków (kryształ górski w ciemnej emalji). *Chanel* i *Drecol* propagują naszyjniki z kaboszonów w kilku tonach stopniowanych, albo z kryształów i drogich kamieni, nanizanych na sposób różańca. Skromne sukienki i spódniczki w kolekcjach *Drecol*'a i *Worth*'a mają za całe przybranie breloki-dewizki z rżniętego kryształu i lapis-lazuli. Breloki, przypięte po lewej stronie paska, żywo przypominają modę z lat przedwojennych.

Nakoniec jeszcze kilka słów o perłach. Jest tajemnicą poliszynela, że perły wyszły z mody, sprzykrzywszy się zapewne wskutek powodzi naśladownictw, która nas zalewała w ubiegłych latach. Perła prawdziwa zachowała jednak swój nieodparty wdzięk. Jedna z eleganek paryskiego wielkiego świata nadal nosi

swoje perły, ożywiając je brylantowymi brelokami w kształcie gruszki, przyczepionymi do sznura perł w równych odstępach. W dziedzinie biżuterji, więcej niż w jakiegokolwiek innej, o uzyskanem wrażeniu decyduje raczej piękno klejnotu, niż ostatni wykrzyk mody.

Helena Wolska.



## OGRÓDKI DZIAŁKOWE

Dziewiąty Zjazd Przedstawicieli Związku Miast Polskich, który obradował w Poznaniu w dn. 21, 22 i 23 października r. b., wczuł się należycie w sprawę związku przyszłości naszego kraju z fizyczną i moralną tężyzną jego obywateli, i uzależnienia takowej od racjonalnego wychowania młodego pokolenia.

Uznanie powyższego wysunęło na pierwszy plan sprawę wychowania fizycznego i sportowego, i ściśle z nią związaną konieczność dostarczenia miastom wzorowo urządzonych terenów sportowych. Dążąc do uzgodnienia poczynań z powziętymi rezolucjami, Dziewiąty Zjazd Przedstawicieli Związku Miast Polskich uchwalił:

1. Miasta mocą uchwał własnych przystąpią do wydzielenia, względnie wykupienia, odpowiedniej ilości terenów, niezbędnych na urządzenie boisk, stadjo-



Ogródki działkowe w Poznaniu — widok jednego ogródka

nów, placów do zabaw i gier ruchomych, ogrodów dla dzieci, przystani wioślarskich, basenów pływackich, strzelnic, oraz hal gimnastycznych.

2. W celu zrealizowania powyższej uchwały, miasta ustanowią w budżetach swoich pozycje na cele wychowania fizycznego.

3. W celu właściwego pod względem technicznym i organizacyjnym urządzenia terenów, oddanych na rzecz sportu i wychowania fizycznego, miasta będą mogły korzystać z pomocy Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przeposobienia Wojskowego.

Ujęcie całokształtu fizycznego wychowania młodzieży w wieku szkolnym w sprawne i wyszkolone ręce staje się rzeczą łatwą do zrealizowania; nie wolno jednak zapominać, że i tym, najmniejszym szczególnie, dzieciom sfer pracujących, pozbawionym z konieczności racjonalnego kierunku i opieki, dzieciom, wzrastającym na ulicy, nad którymi czuwa jedynie Opatrzność Boska; lub odgraniczonym pieczołowitością rodzicielską od wpływów nadmiernej swobody i złego towarzystwa, które duszą się w szczyplych ścianach niehigienicznych mieszkań—należy stworzyć warunki zdrowotne, warunki, przygotowujące należycie do dalszego wzorowego wychowania.

Przypatrzmy się zatem, co zdziałano dotąd w kierunku popchnięcia naprzód żywotnej sprawy.

Łącznie z uznaniem powyższych postulatów, w miastach dzisiejszych powstają tak zwane ogródki działkowe, które są niezaprzeczenie ważnym czynnikiem kulturalnym. Ogródki działkowe wchodzą w skład wielkomiejskiej polityki mieszkaniowej i publicznej opieki społecznej.

Idea zakładania ogródków działkowych nie jest nową, datuje od roku 1861. Kolebką jej jest Lipsk, a entuzjastycznymi bojownikami—dr. Schreber i dyrektor jednej ze szkół miejsowych dr. Hanschild. Tak jeden, jak i drugi, poświęcili działalność swą sprawie wychowania fizycznego. Dr. Hanschild pozostawił po sobie wiele cennych dzieł z tej dziedziny, dr. Schreber wcielił w życie ideę wyżej wspomnianego. Zacieśnione, budowane na sposób koszarowy miasta, których szybki wzrost łączył się nierozzerwalnie z rozwojem przemysłowym, pozbawiały zamieszkującą ludność czynników, koniecznych do pomysłnej vegetacji: — powietrza, słońca i zieleni. Te dotkliwe braki odbijały się jaknajbardziej na zdrowiu dzieci, karlejących w zgubnych warunkach wielkomiejskich. Dr. Schreber, wczuwając się w niedolę maluczkich, stwarza zamiejskie boiska, przeznaczone dla ćwiczeń fizycznych, i łączy z nimi małe ogródki działkowe, oddając je pod opiekę dzieci: jednoczy w ten sposób wyrobienie fizyczne ze zbawiennym wpływem moralnym, jaki wywiera na wrażliwą naturę dziecięcą poczucie odpowiedzialności za własny skrawek ziemi, za życie roślin, hodowanych własnym trudem, i ciągłe obcowanie z przyrodą. Ten mały początek w niedługim czasie wydaje wspaniałe owoce. Drobne działki, przeznaczone pierwotnie dla dzieci jedynie, powiększają się, a wreszcie przekształcają na rozległe kolonie ogródków działkowych, posiadających własne boiska sportowe.



Ogródki działkowe w Poznaniu — ogólny widok

Fot. R. S. Ulatowski

Długi okres wojenny, zmuszający ludność niemiecką do zdobywania produktów żywnościowych za wszelką cenę, zmienia charakter ogródków działkowych, przekształcając je na czysto gospodarcze. Ten zwrot nietylko nie przynosi żadnej szkody szczytnej idei, a przeciwnie rozszerza ją i łączy wychowanie dzieci na świeżym powietrzu z wartościową wydajnością terenów, przeznaczonych pod ogródki.

Obrazem tej racjonalnej gospodarki ogródków działkowych były pokazy owoców, warzyw i kwiatów, oraz wszelkich przetworów owocowych i warzywnych, jakimi popisywali się właściciele tych ogródków w latach ostatnich, tak w r. 1926 na Jubileuszowej Wystawie Ogrodniczej w Poznaniu, jak i na trzydniowym pokazie ogrodniczym, jaki miał miejsce w czasie tegorocznej Wystawy Przemysłu Gastronomicznego, Cukierniczego i Hotelarskiego w Poznaniu.

Idea tworzenia ogródków działkowych przysłała do nas z Zachodu, gdzie śmiało rzec można, rozpowszechniła się w tempie imponującym, o czym świadczą najlepiej dane statystyczne:

Gdy w roku 1921 w Niemczech notują 300.000 zorganizowanych działkowców, w 1925 jest ich już zgórá półtora miliona. Anglja posiadała w tym samym roku 1,200,000 ogródków działkowych.

U nas zaczęto tworzyć ogródki działkowe jeszcze przed wojną. Pierwsze powstały w Warszawie, Lwowie i Poznaniu, w czasie wojny—w Krakowie, a po wojnie—w Łodzi i Katowicach.

Z powodu braku podstawowych i rzeczowych danych, nie mogę się wypowiadać o stanie ogródków działkowych w całej Polsce. Dlatego też zadowolnię się zapoznaniem czytelników z gospodarką, prowadzoną na terenie miasta Poznania, która przez sfery miarodajne uznana została za wzorową i zataczającą najszersze kręgi.

Zanim przystąpię do praktycznego zobrazowania gospodarki poszczególnych jednostek na terenie ogródka, zanim zaznajomię panie z zasadami, na jakich opierać się powinna organizacja kolonii ogródków działkowych, z zasadami, opracowanymi przez siły fachowe i kierownicze—pozwolę sobie powiedzieć słów

kilka o przemożnym, a zbawiennym wpływie moralnym takiej organizacji.

Przywiązanie, jakie budzi się w sercu jednostki, pracującej na własnym skrawku ziemi, przywiązanie do samej pracy i chęć udoskonalenia jej wyników—stanowi niezaprzeczenie olbrzymi resurs, tak dla dorosłych, jak i dla dzieci. Praca ta odciąga od niezdrowego życia ulicy, od szeregu płytkich i szkodliwych nieraz rozrywek, daje zadowolenie moralne, estetyczne, jest zdrowym ujściem dla sił żywotnych, źródłem tężyzny tak fizycznej, jak i moralnej. Wchodzi tutaj w grę w dużym stopniu szlachetne współzawodnictwo, które jest najlepszym bodźcem do ciągłego dążenia ku doskonałości. Ludzie, pracujący na takim własnym skrawku ziemi, stają się wkrótce doświadczeniymi i zamiłowanymi specjalistami, na podstawie samokształcenia i licznych doświadczeń, dających niejednokrotnie wyniki nadspodziewane. Ciągłe obcowanie z przyrodą uszlachetnia ich i wysubtelnia zdolność odczuwania piękna, lecz z bezpodstawnego nieraz zniechęcenia, apatii, jest źródłem odzyskania najcenniejszego skarbu: umiejętności odczuwania radości życia, którą tak łatwo zatracić w szarym i smutnym deptaku codziennej egzystencji miejskiej.

Poświęcanie wolnych od pracy zawodowej chwil kultywowaniu własnego ogródka, pochłaniając czas, oddaje nam jeszcze i inne usługi, niemniej ważne od tych, o jakich mówiłam powyżej: Zmniejsza skalę naszych potrzeb, skreśla wiele pozycji z biednego budżetu przeciętnego mieszczucha, który po męczącej pracy na własnym zagonie odpoczywa w cieniu małej altanki, rozkoszuje się wynikiem owocnego trudu, a po powrocie do domu nie ma już ani sił, ani ochoty płynięcia z przemożnym prądem wielkomięjskich uciech, co chroni go skutecznie tak od nadmiernych wydatków, jak i od niebezpiecznych pokus, uśmiechających się złudnie na każdym kroku.

Prócz tych dorobków, pozostaje jeszcze do podkreślenia dorobek materialny, jaki przy starannej uprawie ogródka wypowiada się w cyfrach, zasługujących na uwagę. Jeden z niemieckich działkowców podaje do wiadomości publicznej na łamach pisma: „Mein Heimgarten” szczegółowe wyniki swej pracy.

Z ogródka o obszarze 300 m. kwadratowych zebrał: 40 f. cebuli, 60 f. buraków, 50 f. marchwi, 50 f. porów, 40 f. szpinaku, 40 f. zielonej fasoli, 30 f. cukrowego groszku, 3 centnary pomidorów, 20 f. truskawek, 30 f. agrestu, 35 f. porzeczek, a pozatem:

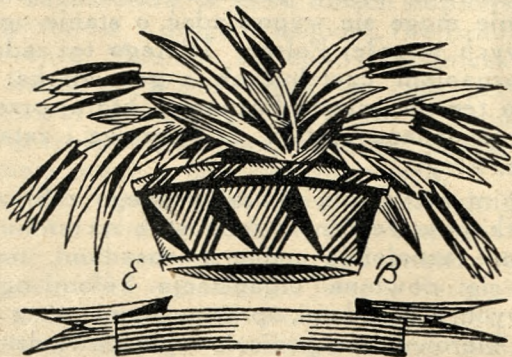
100 sztuk rzodkwi, 30 sztuk selerów, 100 sztuk kalarepy, 65 krzaków kapusty brukselskiej.

Dla użyczenia ziemi pod taki plon zużył:

1 wóz nawozu stajennego, 60 f. tomasyny i superfosfatu, 60 f. soli potasowej, 10 f. siarczanu amonu, 10 f. saletry chilijskiej i nawóz gołębi, jaki posiadał u siebie.

(d. n.)

W. D.



## PODARUNKI ŚWIĄTECZNE

Może jeszcze zawczasie pisać o nich, bo przecież jeszcze cały miesiąc nas od świąt dzieli? A może też i nie, gdyż aby liczną rodzinę, domowników, krewnych, praktycznie obdarować, trzeba mieć sporo czasu na obmyślenie, wybór, no i na znalezienie środków na kupno podarunków. Minęły te czasy, kiedy podarunek powinien być koniecznie przedmiotem zbytku — „Objet de luxe”. Tak, minęły, i niestety, zdaje się, na zawsze minęły te piękne czasy, gdzie każdy miał zaspokojone wszystkie pierwsze potrzeby życiowe, i gdzie krewni i przyjaciele potrzebowali tylko dbać o zrobienie przyjemności, dodając do rzeczy niezbędnych przedmioty artystyczne, upominki cenne.

Było to tak niedawno jeszcze, — wtedy, kiedy składanie wizyt w niedzielę było „mauvais genre”, bo wizyty w niedzielę mogą sobie oddawać tylko rzemieślnicy lub służba; kiedy mówić w towarzystwie o interesach, w salonie o pieniądzach, skarżyć się na ciężkie czasy, — było dowodem braku wychowania; kiedy pół dnia się jeździło i rozwозиło bilety wizytowe, aby nie być źle wychowanym, bo tu trzeba było kogoś zaprosić, tam komuś powinszować, ówdzie złożyć wizytę „de digestion” po proszonym obiedzie, lub wieczornem przyjęciu.

Już nasze dzieci, wyrosłe w czasie wielkiej wojny, o tych czasach niejasne mają pojęcie, a wnuki będą słuchały opowiadania o nich, jak bajki o żelaznym wilku.

Ludzie ofiarowywali sobie wzajemnie brzozy i kryształ, obrazy, rzeźby, biżuterję. Dzieci dostawały takie fury zabawek, że mogły je łamać i niszczyć do nowych świąt prawie. W domach bardziej kulturalnych obdarzano się wzajemnie książkami, właściwie pięknymi wydawnictwami.

W dzieciństwie, pamiętam, jak babka moja swojej synowej, a mojej matce, co roku na święta przysyłała od Zawadzkiego z Wilna dużą pakę, mieszczącą np. Album Matejki, Biblię z ilustracjami Doré’go, komplet dzieł Korzeniowskiego, ładnie oprawny itp. Później sama dostawałam od krewnych i bliskich: „Wojsko” — Gembarzewskiego, „Ilustrowaną historję Polski” w kilkunastu tomach, „Królową Niebios”, różne francuskie i angielskie wydawnictwa.

Ten piękny zwyczaj możnaby zachować: — porałoby się przezeń wydawnictwa nasze, narzekające na brak zbytu książek i niemożność wydawania dzieł ozdobnych.

Nie każdego stać na to, — lecz kogo stać, ten tego rodzaju podarunki robić przede wszystkim powinien. Dla ludzi o skromnych środkach jest mnóstwo ozdobnych wydawnictw tanich, więc przede wszystkim wydawnictwa naszego „Bluszczu”. Dla pań domu, młodych, niedoświadczonych gospodyń, dla kucharek i służących do wszystkiego — komplety kuchennych książeczek „Życia Praktycznego”; dla miłośników kwiatów — także komplety książeczek ogrodniczych. Dla dzieci „Ozdoby Choinkowe” z „Życia Praktycznego” i nowe „Wzory Ozdób Choinkowych”, dopiero co wyszłe, wspaniałe wydawnictwo. Dla pań na wsi, nie mających czem zapełnić długich zimowych wieczorów — „Modne Roboty Kobięce” itd.

A poza książkami dzisiaj wolno, a nawet należy robić wyłącznie praktyczne podarunki. Nikt się o nie

obrazić nie powinien. Dawniej jakaś bona, lub panna służąca, której nie można było darować nic takiego, co się daje zwykłej służącej, kolekcjonowała srebrne broszeczki z turkusami, dęte złote bransoletki z ametystami, pierścioneczki z perełkami i tym podobne, drogie do kupienia, lecz nie mające faktycznie żadnej wartości — śmiecie.

Dzisiaj, po należytem zbadaniu jej potrzeb, pani może jej doskonale kupić ciepły sweter, materiał na spódniczkę, sukienkę letnią, kilka par pończoch, a nawet odcinek białego materiału na bieliznę. Tak samo zupełnie, może tylko jakościowo nieco inaczej, obdarujemy naszą kucharkę, pokojową lub służącą do wszystkiego, i tak samo, lecz jakościowo jeszcze inaczej — matkę, córkę, siostrę, siostrzenicę, lub wnuczkę: — zdemokratyzowaliśmy się zupełnie pod tym względem. Jesteśmy wszyscy jednakowo potrzebujący.

Nie radzę przez to wcale, aby wszystkim dawać ciepłe barchany w kraty, grube, bawełniane pończochy, — owszem: niech każda rzecz ofiarowana będzie ładna, gustowna, niech się podoba obdarowanemu. Lecz tylko nie darujmy rzeczy zupełnie niepotrzebnych, zagracających, zaśmiecających i tak za szczupłe nasze mieszkania. Tych garnuszków, wazoników, popielniczek, z którymi nie wiadomo, co począć. Jeśli nie chcemy ofiarować przedmiotów z ubrania, zawsze możemy się dowiedzieć, czy danej osobie nie brak parasola, portmonetki, torebki — tej nieodłącznej części naszej garderoby, przy trwałym braku kieszeni w sukniach. Dla panów — pugilares, porte-cigares, krawat, rękawiczki, laska. Dla wszystkich — od najmłodszych do najstarszych — ładny papier listowy, teki do listów, kilka eleganckich chusteczek, nietyle do nosa, co do kieszonki.

I jeszcze jeden rodzaj podarunków bardzo pożądaných. U wszystkich prawie reemigrantów, wszystkich prawie kresowców, wypartych przez najeźdźców i rzuconych na bruk miejski, u wszystkich młodych małżeństw — panuje powszechny brak naczyń stołowych i kuchennych nawet. Jeżeli nie możemy się zdobyć na serwis stołowy, czy do herbaty, stanowiący dziś poważny wydatek, to możemy kupić tuzin ładnych talerzyków, filiżanek do herbaty, lub kawy, kryształowy, czy szklany nawet — byle gustowny — komplet do ciastek, czy owoców, kieliszki do wina, czy wódki, karafkę do wina, dzban do kruszonu, paterę do owoców. A jeśli wiemy, że są braki w kuchni, przyjemność dobrej gospośi zrobi „Prodige“, lub rondle do wieżowego gotowania na gazie, maszynka do lodów, wanienska do ryb, forma do galarety lub budyniu — rzeczy, bez których wiele gospodarstw obchodzić się musi, a które byłyby mile, ach, jak mile widziane! Jeżeli te dary zrobimy ze szczerego serca, sprawią one prawdziwą radość obdarowanym; — musimy jednak użyć na to całej naszej przenikliwości, aby zgadnąć, o czym kto myśli, czego pragnie, o czym nawet marzy. Niech nasze podarunki będą skromne, lecz gustowne — no i, co dzisiaj konieczne, — modne. Bo na wszystko jest moda: na filiżanki i talerzyki, na foremki i rondelki równie dobrze, jak na kapelusze, pończochy i rękawiczki. Dobrze, że przypomniałam sobie o rękawiczkach: wszak to prezent dla każdego odpowiedni i miły, dla starych i młodych, dla mężczyzn i kobiet, — oczywiście, kolor i fason powinny być zastosowane do wieku i stanowiska danych osób. Nie można ofiarować paljowych rękawiczek o haftowanych mankietach swojej kucharce, — chociaż może się tu myśleć, i może właśnie takie sprawiłyby jej największą przyjemność!

Nie możemy też wszystkich zakupów podarunkowych odkładać na ostatnią chwilę. Sklepy przepełnione, ekspedjenci przepracowani, wszystko to nie daje możliwości dojrzałego obmyślenia, racjonalnego wyboru. No i przeprowadzić dokładną kalkulację: określić sumę, którą możemy wydać, obliczyć, co za nią kupić możemy, zdecydować poszczególne pozycje, jednym słowem, zrobić kosztorys i dokładnie go wypełnić.

Pani Elżbieta.



## O NAJKONIECZNIEJSZEJ Z OSZCZĘDNOŚCI — OSZCZĘDNOŚCI CZASU

Ustawicznie spotykamy się ze skargami na brak czasu, na przeciążenie pracą, z ciągłymi utyskiwaniami na ciężką dolę i t.p. Nie przychodzi nam, jednak, na myśl, że zamiast trawić go na dziecinne żale, lepiej byłoby przekonać się czy nie marnujemy, jak gdyby umyślnie, tego drogocennego czasu. Nie dość być wiecznie zaharowaną, zalataną, śpieszyć się do niemożliwości i do umęczenia siebie i swojego otoczenia, aby to miało być dowodem przeciążenia pracą. Często lepiej byłoby zastanowić się nad przyczyną tych objawów i z pokorą przyznać się do nieumiejętności zorganizowania swoich zajęć i nazywania nadmiarem pracy, — miotania się bez ładu i bez celu.

Tak jak nie ten jest biednym, kto rozporządza małymi środkami, ale ten, który do nich zastosować się nie umie — tak samo ten ma mało czasu, który wiecznie na jego brak narzeka, a nie umie go sobie rozłożyć. Przedewszystkiem, aby mieć go podostatkiem, trzeba być opanowanym, nerwy trzymać na wodzy, mieć dosyć równowagi i spokoju, aby dokładnie zdać sobie sprawę z różnorodności swoich zajęć i umieć tak się urządzić, aby były wciągu przeznaczonego na nie czasu nietylko wykonane, ale dobrze wykonane.

Przedewszystkiem trzeba określić dokładnie porządek, w jakim przystąpimy do spełniania naszych prac. Zdarza się często, że zależą jedne od drugich, tak że zachowanie odpowiedniej kolejności przy wykonywaniu jednych, ułatwi i przyspieszy drugie. O tem, co należy wpierw, a co później zrobić, powie nam zdrowy rozsądek; wątpliwość zdawałaby się w tym wypadku niemożliwa. Jeżeli jednak obowiązki nasze kompletnie są od siebie niezależne, nie można ułożyć ich podług kolejności, zaoszczędzającej czas ich wykonania — wtedy powinniśmy urozmaicić je sobie, zmieniając od czasu do czasu dla uniknięcia znużenia, wpływającego ze zbyt jednostajnej pracy. Z drugiej strony, jeżeli zatrudnienia nasze są cięższe i lżejsze, zacniemy od pierwszych — a drugie będą nam się zdawały odpoczynkiem i miłą rozrywką.

Wskazana przezorność w ułożeniu w ten sposób programu zajęć nietylko że oszczędzi naszych sił umysłowych i fizycznych, ale pozwoli osiągnąć maksimum wydajności pracy, a tem samem da dużą oszczęd-

ność czasu. Oszczędzajmy również nasze nerwowe siły, starajmy się spełniać wszelkie zajęcia wesoło i pogodnie: w tem leży moc panowania nad sobą. Skoro wyznaczmy planową kolej pracy, musimy zakazać sobie najsurowiej myślenia o czem innym, niż o tem, co w danej chwili robimy. Bujanie w obłokach, albo rozmyślanie nad tem, co nam pozostaje jeszcze do zrobienia, jest przyczyną wewnętrznego niepokoju, rozstrajającego nerwy, i nieprodukcyjnej w rezultatach pracy. Wieleż to razy widzimy osoby niezrównoważone, łamiące ręce na samą myśl o tem, co im jeszcze do zrobienia zostało! czyż nie łatwiej dałaby się ta wadliwie ujęta kwestja rozwiązać spokojem, niż rozpaczą? Należyce rozejrzawszy się w zajęciach dnia bieżącego, nakreślmy logiczny ich plan, zużytkujmy każdą minutę, nie wybiegajmy myślami w dal, jak to wiele osób zwykło jest czynić, ale myślimy tylko o chwili obecnej, a pewnie i bezpieczniej dopłyniemy do portu. Ład i spokój w umyśle osoby, stojącej u steru łodzi, niejednokrotnie ratuje ją od zatonięcia, a przedewszystkiem pozwala spokojnie i bezpiecznie żeglować po wzburzonych falach życia.

J. S.



## PRZECHOWYWANIE ZAPASÓW W PIWNICACH

Przed nadejściem zimy umieściliśmy zapasy opału, owoców i jarzyn w piwnicy, i, narazie przynajmniej, mamy spokój, bo jesteśmy zabezpieczeni przed wtargnięciem mrozu. Ale nie myślimy o tem, że zapasy nasze mają jeszcze innych licznych wrogów, a nie myślimy często dlatego, że wędrowka do piwnicy, zwłaszcza w wielopiętrowych domach miejskich, nie należy do przyjemności.

Na pierwszym planie wśród wrogów naszych zapasów trzeba wymienić nadmiar wilgoci, lub zbyt suche powietrze, wywołujące gnicie, albo wędnięcie, zbyt wysoką ciepłotę piwnic, często zdarzającą się tam, gdzie jest zaprowadzone centralne ogrzewanie; brak światła w przechowalniach roślin żywych, jak laury, ewonimusy, aukuby, oleandry i inne. Poza tem występują często w piwnicach myszy, robactwo i inne szkodniki.

Przedewszystkiem określmy właściwości piwnicy, która ma stanowić przechowalnię części roślin żywych, a więc owoców, warzyw i kłaczy (dalji lub pacioreczników), oraz całych roślin dekoracyjnych. Przez zimę mają one w piwnicy nie rosnać, lecz tylko trwać, względnie wycpoczywać, do tego celu zatem powinna być dostosowana ciepłota piwnicy. Temperatura powinna być niska, od 1 do 5° ciepła, gdyż wyższa sprzyja zbyt szybkiemu przebiegowi procesów dojrzewania, a następnie niszczenia owoców i jarzyn, rośliny zaś pobudza do wzrostu.

Piwnica powinna posiadać urządzenia wentylacyjne. Ułatwiają one regulowanie ciepłoty, jeżeli wykracza ona ponad normę pożądaną, a poza tem doprowadzają świeże powietrze, konieczne do pomyslnego

przechowywania roślin, a nawet i plonów gotowych. Gdy tylko ciepłota zewnętrzna pozwala, należy okna w przechowalni otwierać, bacząc jednak, żeby powietrze nie stało się za suche. Nadmiar wilgoci też może być skutecznie usuwany drogą wietrzenia. Podczas silniejszych mrozów okienka należy starannie opatrywać, zasłaniać matami, względnie zatykać framugę słomą, ażeby zapobiec nadmiernemu spadkowi ciepłoty. Kapusta, kłacze selerów, dalji, pacioreczników, cebulki mieczyków, a zwłaszcza rośliny dekoracyjne przechowują się o wiele lepiej w pomieszczeniach przewietrzanych, niż w pozbawionych dostępu świeżego powietrza, choćby nawet inne warunki były mniej sprzyjające.

Nadmiar wilgoci w piwnicach można złagodzić, umieszczając na płaskich podstawach, lub deskach, suchy miał torfowy, który chciwie wsysa wilgoć. Można też kłaść w różnych miejscach bryły wapna palonego, które czerpie z powietrza wilgoć i pod jej wpływem stopniowo się lasuje. W piwnicach zbyt suchych należy ustawiać naczynia z wodą.

Okienka służą jednak nie tylko do przewietrzania, lecz mają za zadanie również doprowadzanie światła. Wprawdzie warzywa, owoce i cebulki mogą być przechowywane w ciemności, lecz rośliny dekoracyjne, nawet w okresie spoczynku, potrzebują światła. W przechowalniach zbyt ciepłych i ciemnych, wykształcają długie, blado-żółte, cienkie pędy, które roślinę wysilają, a nie przedstawiają żadnej wartości, i po wyniesieniu roślin z przechowalni wkrótce giną.

Wprawdzie procesy życiowe w porze zimowej, i w chłodnej przechowalni, przebiegają bardzo powoli, a pobieranie przez rośliny wody za pośrednictwem korzeni jest minimalne, to jednak nie należy dopuszczać do zasuszenia roślin. Ale pamiętać trzeba, że nadmiar wody jest znacznie groźniejszy, niż jej brak. Umiarkowanej wilgoci potrzebują jednak nie tylko rośliny żywe; w przechowalni zbyt suchej więdną owoce, a nawet zadołowane w suchym piasku warzywa marszczą się i kurczą. Więc należy dbać też o pewną zawartość wilgoci w piasku, którym są przesypane warzywa korzeniowe.

Bardzo ważne jest też usuwanie z piwnicy owoców, warzyw, lub innych części roślin, które się psują.

Jak z tego widać, trzeba przechowalnię i piwnice, oraz zawarte w nich zapasy, przeglądać przynajmniej raz na tydzień, żeby uniknąć strat, którym można zapobiec, jeżeli w porę usuniemy przyczyny ich powstawania.

Stan. Schönfeld.

## KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ  
WSPÓLPRACOWNICZKĘ DZIAŁU  
ROBÓT W „BLUSZCZU“

INFORMACJE TELEFONICZNE

DC G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.

## Przepisy Gospodarskie



## SAŁATKI ZIMOWE

1) Sześć dużych równych kartofli ugotować w łupinach, obrać dopóki gorące, pokrajać w cieniutkie plasterki. Duży seler ugotować tak samo, po obraniu przekrajać na cztery części i pokrajać w plasterki równie cienkie, jak kartoflane. Nakoniec dwa duże ogórki kiszane, równe i twarde, obrać i pokrajać w takie plasterki. Ułożyć rzędami na salaterce, mieszając je równomiernie. Dwie łyżki dobrej oliwy zmieszać z sokiem z całej cytryny, odrobiną białego pieprzu, łyżeczką do herbaty soli, takąż łyżeczką cukru; utłuc doskonale razem, polać równo całą sałatę, dać postać godzin parę; przed podaniem posypać drobno usiekaną pietruszeczką.

2) Sześć dużych kartofli, niezbyt mączystych, ugotować w łupinach, obrać dopóki gorące, pokrajać w cienkie płatki. Dobry kawał zimnego mięsa, — pozostałej pieczeni lub sztuki mięsa — pokrajać w takie płatki; toż samo zrobić z dwiema hiszpańskimi cebulami. Na salaterce układać kartofle, mięso, cebulę, powtarzając to samo, aż wszystko się ułoży. Na wierzchu powinna być cebula. Trzy łyżki oliwy, trzy łyżki octu, jedno jajko całe i łyżeczkę soli włożyć do rondla i ubijać trzepaczką na wolnym ogniu, aż sos zgęstnieje; dodać łyżeczkę od kawy suchego proszku musztardowego, łyżeczkę od herbaty cukru, dwie łyżki mięsnego rosółu; mieszać, aż ostygnie. Zalać sałatę tym sosem i trzymać tak polaną godzin parę przed podaniem.

3) Sześć dużych kartofli ugotować w łupinach, obrać dopóki gorące, pokrajać w kostkę podłużną; w taką kostkę pokrajać dwadzieścia deka gotowanej szynki. Trzy jaja ugotować na twardo, żółtka wyjąć, białka pokrajać w długie paski. Zmieszać kartofle, szynkę i jaja, lub też ułożyć w pasy na salaterce. Żółtka z jaj utrzeć z łyżką angielskiej musztardy, dwiema łyżkami oliwy, i sokiem z całej cytryny lub dwiema łyżkami octu. Dodać do smaku soli, białego pieprzu, odrobinę cukru; rozprowadzić rosółem lub gotowaną wodą do gęstości zwykłego sosu. Zalać tym sosem sałatę na parę godzin przed podaniem.

4) Szklanekę białej fasoli namoczyć na noc w wodzie; następnego dnia ugotować bardzo miękko. Pół kilo kartofli ugotować w łupinach, obrać dopóki gorące, pokrajać w drobną kostkę. Dwa duże jabłka, antonówki lub inne kwaskowe, obrać i pokrajać w taką kostkę. Utrzeć na tarce dużą o łagodnym smaku cebulę, (hiszpańską lub, w braku jej, cukrówkę), dodać łyżkę oliwy, łyżkę octu lub soku z cytryny, soli i cukru do smaku, dwie łyżki konserwy pomidorowej, odrobinę pieprzu do smaku. Z tym sosem mieszać przygotowane jarzynki. Potrzymać tak przygotowaną sałatkę kilka godzin przed podaniem.

5) Główkę czerwonej kapusty cienko uszatковать, sparzyć wrzątkiem, potrzymać pięć minut przy-

krytą pokrywką, lecz nie gotować, bo będzie za miękka; odlać, ostudzić, skropić octem, aby nabrała ładnego koloru. Filizankę białej fasoli, namoczonej na noc, ugotować miękko; duży seler ugotować w łupinie, obrać i pokrajać naprzód w długie pasy, potem w drobne płatki. Zmieszać wszystkie jarzynki razem, polać obficie oliwą, posolić do smaku, dodać dobrą łyżkę cukru, trochę białego pieprzu i nakoniec niedużo, lecz dobrego octu. Wymieszać wszystko razem i trzymać godzin parę przed podaniem, aby się sałata dobrze zmacerowała.

6) Pół kilo kartofli ugotować w łupinkach, obrać poki gorące, pokrajać w drobną kostkę. Dwa duże jabłka, antonówki lub renety, obrać i pokrajać w taką kostkę, dużą cebulę hiszpańską grubo posiekać. Dziesięć deka szynki pokrajać w cienkie paski i w takie paski pokrajać dobrego śledzia ulika; zmieszać to wszystko razem. łyżkę mąki zasmażyć na biało z łyżką masła, rozprowadzić filizanką rosółu mięsnego lub rybnego, utrzeć mocno, aby sos był gładki; do ciepłego jeszcze wlać dwie łyżki dobrej oliwy i tyleż octu; soli i cukru do smaku, wciąż ucierając. Do stygnącego już sosu wbić jedno, lub dwa żółtka i ucierać, aż zupełnie ostygnie. Z tym obfitym sosem mieszać wszystko wyżej wspomniane i trzymać na chłodzie przez 24 godziny przed podaniem.

7) Pół kilo ćwikłowych buraków obgotować, obrać i pokrajać w paski. Dwa duże jabłka, antonówki obrać i pokrajać w takie paski; nakoniec pokrajać, w takie paski trzydzieści deka pieczonego zająca. Do rondelka włożyć łyżeczkę masła, tyleż mąki, dwa jajka całe, łyżkę oliwy, filizankę rosółu, soli i pieprzu do smaku, sok z całej cytryny lub dobrą łyżkę octu, nakoniec parę łyżek sosu od pieczonego zająca. Ubijać to wszystko na ogniu, aż mąka straci smak surowizny i sos zgęstnieje; nie gotować jednak mocno, aby się jaja nie zwały. Buraki, jabłka i zająca zmieszać z ciepłym jeszcze sosem, którego powinno być obficie, ładnie ułożyć na półmisku i dać dobrze zastygnąć. Przed podaniem wkoło obłożyć endywią, roszonką, sałatą rzymską lub inną zimową sałatą, zaprawioną octem, oliwą i solą. Ta sałata służy tylko do przekąski.

8) Ładne, doskonale wybielone zimowe cykorje ugotować w osolonej wodzie i ostudzić, pokrajać w plasterki. Doskonale wybielonych selerów liściastych wziąć tyleż, co cykorji i pokrajać na surowo w cienkie paski. Dodać trzecią część zielonej lub szparagowej fasoli z konserwy (bez płynu). Zalać wszystko najlepszą oliwą, jeśli trzeba, posolić do smaku, dodać odrobinę białego pieprzu i sok z całej cytryny. Wymieszać doskonale i trzymać tak godzin parę przed podaniem.

Pani Elżbieta.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW  
podług przepisu Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny” we wszystkich odcieniach. Perleki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem” (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Nowość sezonu: Krem poziomkowy (udelikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

## KORRESPONDENCJE

Prosimy Czytelniczki nasze o datowanie listów i nie pisanie ich ołówkiem. Utrzymując kolejność w odpowiedziach, listy niedatowane zostawiamy na koniec, wskutek czego ich autorki zbyt długo na odpowiedź czekać muszą. To samo dzieje się z listami, pisanymi ołówkiem, które, zatarte, często zupełnie prawie nieczytelne, pozostawia się do wolniejszej chwili, wobec wielkiej ilości listów, na które odpisujemy pocztą i w Tygodniku. Pragniemy dogodzić wszystkim naszym Czytelniczkom, ale zmuszone jesteśmy prosić je o nieutrudnianie nam i tak ciężkiej pracy.

Czytelniczce z Gniezna. Asparagus lubi ziemię pożywną z dodatkiem opiłek żelaznych i częste podlewanie nawozem. Nie znosi operacji słonecznej, od której żółknie i traci liście. Nie służy mu bezpośrednie zraszanie, lepiej jest rozpylać wodę w powietrzu. Potrzebuje temperatury chłodnej, najwyżej 12° R. Do hodowania roślin pokojowych niech Sz. Pani kupi zeszyt „Życia Praktycznego”: „Rośliny pokojowe”. Wysyłamy po otrzymaniu 1,80 zł. znaczkami pocztowymi.

Pani S. L. Malców. Teneriffy robi się na krążkach kościanych, albo na kółkach z tektury. Wkrótce ukaże się specjalny zeszyt o robocie koronek.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Felicji S. Kursa kosmetyczne p. dr. Biernackiej rozpoczynają się 2 razy do roku: we wrześniu i w styczniu. Kurs 4-ro miesięczny. Uprawniają do prowadzenia samodzielnego salonu kosmetycznego (parówki, masaże); natomiast wszelkie leczenie musi być kierowane przez lekarza-specjalistę. Koszta otworzenia takiego salonu kosmetycznego, zależnie od warunków i miejscowości, mogą wynosić od kilku set do paru tysięcy złotych. Salonów kosmetycznych obecnie jest bardzo dużo, na prowincji jednak może mieć pewne szanse powodzenia.

Czytelniczce A. Skrzep, powstały podczas ciąży, pod grozą ciężkiej choroby nie może być masowany.

Proszę przeczytać o żylakach art. dr. Zaorskiego w „Kulturze Ciała”: — „Żylaki, wrzody podudzia i ich leczenie”.

Janinie P. Częstochowa. Ślady po ospie nie zawsze dają się rozmasować. Światłolecznictwo daje małe rezultaty. Nie każdą skórę można złuszczać. Bez poradzenia się specjalisty nie można nic konkretnego poradzić. Nie zawsze ospa daje ślady, zależnie od intensywności choroby. Konieczne jest jak najszybsze leczenie, żeby zapobiec tym przykrym śladom.

## „Nakrycia Stołów”

KSIĄŻECZKA TA UCZY, JAK PRZYJMO-  
WAĆ GOŚCI I NAKRYWAĆ STÓŁ NA  
PRZYJĘCIA I W DNI CODZIENNE

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, War-  
szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności  
przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## „Potrawy wigilijne”

PRZEPISY I RADY, JAK TANIM KOSZTEM  
URZĄDZIĆ ŚWIĘTA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, War-  
szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności  
przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## KURS OGRODNICTWA

W końcu listopada r. b. rozpoczął się 2 -mie-  
sieczny kurs ogrodniczy dla miłośników ogrodnictwa.

Kurs będzie podzielony na 4 cykle:

- I. Wiadomości o glebie i jej uprawie.
- II. Sadownictwo i owocarstwo.
- III. Warzywnictwo i nasiennictwo.
- IV. Kwaciarnictwo gruntowe oraz pszczelnictwo.

Informacji zasięgnąć można od godz. 4—6 p. p.,  
tel. 32-35, mieszkanie p. Zielińskiej, Al. Jerzolim-  
skie 45, m. 4.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Do-  
datku Mód, dostarczamy po cenach następujących:  
palto, lub suknia fantazyjna . . . . . zł. 3.50  
suknia zwyczajna . . . . . „ 2.50  
bluzka . . . . . „ 2.00  
formy dzieciinne . . . . . „ 2.00  
bielizna . . . . . „ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w do-  
datku mód i robót, mogą być dostarczone w wiel-  
kości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka —  
serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wy-  
mienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza  
temi, które były umieszczone w „Bluszczu”, nie wy-  
syłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu  
przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych  
lub przekazem.